





<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>



Exz. archiwalny IBL

# Powiesci

I

## PISMA HUMORYSTYCZNE.

FRYD. HR. SKARBKA.

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63

TOM IV.

ZYCIE I PRZYPADKI FAUSTYNA FELIXA DODOSIN-  
SKIEGO.

---

W WROCLAWIU,  
NARŁADEM ZYGMUNTA SCHLETTERA.

1840.

<http://rcin.org.pl>



PROJEKT WYKONANO

WYKONANO

WYKONANO

WYKONANO

WYKONANO WYKONANO WYKONANO

WYKONANO WYKONANO WYKONANO

<http://rcin.org.pl>

**ZYCIE I PRZYPADKI**  
**FAUSTYNA FELIXA NA DODOSZACH**  
**DODOSIŃSKIEGO**

przez

**FRYD. HR. SKARBKA.**

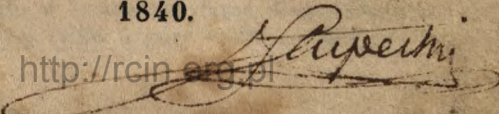
—♦—  
Tom I.

---

**W WROCŁAWIU,**  
**NAKŁADEM ZYGMUNTA SCHLETTERA.**

1840.

<http://rcin.org.pl>







ZYCIE PR YPADKI

FAJSTWA TEMKA NA DODOSZACI

DODOSINSKIEGO

1840

FRYD. HR. SKARBA

Tom I.

W WROCLAWIE

WYDAWCA NIKONETA SCHULTZKA

1840

<http://rcin.org.pl>



## R O Z D Z I A Ł I.

### S z k o ł a.

Na farnym zegarze biła godzina pierwsza po południu. Miasto było jak wymiecione, nikogo na ulicy, bo jedni dla upału nie śmieli wychodzić z domów, drudzy spoczywali po obiedzie opędzając się w drzymaniu natarczym muchom; a studenci, najglówniejsi mieszkańcy Łowicza, nie wybierali się do szkoły, bo mieli jeszcze całą godzinę swobodnego próżnowania przed sobą. Na korytarzu szkolnym, w którym się przed godziną tak huczne rozlegały okrzyki, było teraz tak cicho, że echo sklepienia powtarzało sapanie śpiącego na ławie kalafaktora, a w izbie szkolnej jeszcze ciszej, gdzie tylko uwijające się po oknach osy i muchy jednostajny brzęk wydawały. Była to w końcu korytarza długa sklepiona sala, w której tylko u góry widziano ślady pier-

wotnego bielenia; niżej zaś w równi z ławkami, wieszaly się rozmaite kolory i cienie, to wylanego atramentu, to rysunków lubryką wykonanych, to odcisków od głów codzien w jednem miejscu o ścianę opieranych. Między dwoma rzędami ławek niegdy czarnych, a przez niezliczone snycerstwa i rzeźby w srokatę zamienionych, było miejsce próżne prowadzące do katedry naprzeciw drzwi umieszczonej, do owego tronu, z którego *Pater Professor* wyrocznie naukowe, wyroki dyscyplinarne, *damna i laudesy*, jako niegdy Jowisz z Olimpu na zalęknionych studentów rozrzucal.

Obok téj katedry po prawej stronie, stala mała ławeczka z pulpitem do pisania, siedlisko dyktatora, owego pierwszego ucznia szkoły, który tę dostojność przez trafne rozwiązanie najtrudniejszej kwestyi osiągnął, i który miał przywilej wyłączny do dziesięć razy większych pochwał czyli laudesów, jak wszyscy inni studenci. Nad rzędem ławek po jego stronie stojących wisiała tablica z napisem: *Pars Romana*<sup>1)</sup>, a na niej summy liczbami kredą wypisane, wyrażające ilość laudesów, przez ten Rzymski oddział szkoły uzyskanych. Naprzeciw niej nad lewym rzędem ławek wisiała druga tablica z napisem: *Pars Graeca*<sup>2)</sup> podobnemiz liczbami mniej gęsto zapisana. Na czele obudwóch rzędów ławek, dwie

1) Część Rzymska.

2) Część Grecka.

na kijach osadzone tabliczki z napisem: *Imperator*, oznaczające miejsce honorowe pierwszego każdego oddziału studenta, który miał przywilej przewodniczenia swym współuczniom przy każdym uroczystym pochodzie całej szkoły. Blżej jeszcze na lewo przy piecu stała osobna ławka, a nad nią nieszczęśliwy napis: *Scamnum asinorum*<sup>1)</sup>; a za nią na zapiecku stół kalafaktora, nad nim groźne narzędzia, które leniwym i tępyim rozum napędzały do głowy, płaska *placenta* do uderzania po dłoni i łokciowy twardy kańczug, insignia nieugiętego kalafaktora.

Ten urząd piastował teraz młodzieniec dwudziestoletni, który ze studenta infimy do retoryki na tę godność był wyniesiony. Twarz jego nie odpowiadała srogości powołania; lecz za to postać cała napędzała do pilności mniej dbałych, a do spokojności swawolnych studentów, bo ei, którzy przez jego ręce przeszli, na czulój mieli pamięci siłę, jaką był obdarzony. Dochodził on miary drabantów, których król August III z Saxonii sprowadzał: szeroki w plecach miał barki do góry wzniesione, tak iż cała postać jego przy spuszczonej rękach foremny czworobok wyobrażała, i podobną była do tych słupów muryowanych u bram, na których okrągłe kule są osadzone. Twarz miał rumianą, lecz mocno piegami okrytą; usta szerokie, jakby umyślnie usposobione do głupowatego uśmiechu, który w ra-

---

1) Ławka osła.



zach trudnych lub w przypadku zawstydzienia na nich osiadał. Nad pulchnymi wargami unosił się nos duży okrągły i małe piwne oczy, a niskie czoło wieńczyła ruda czupryna pod linią równiuteńko ostrzyżona. Nie mając żadnych zasilków od rodziców obywać się musiał odzieżą, którą po bogatszych studentach dodzierał, i którą nieraz dla uzyskania względności w przykrém położeniu od nich otrzymywał. Dlatego miał właśnie na sobie żupanik, który sam tylko do kolan, a rękawy do łokci sięgały; przepasany był krajką, a buty miały aż nadto widoczne znamiona, iż dawną już służbę odbywały.

Do téj tak ważnej i powabnej osoby, którąśmy chrapiącą na ławie przed szkołą zostawili, przybiegł korytarzem dorodny ośmnastoletni młodzieniec, uderzył go poufale kijem, *palcatem* zwanym i rzekł:

„Faustynku! cóżto, ty spiszesz jeszcze? czy nie masz nikogo w szkole?“ Zerwał się równemi nogami Faustynek, przetarł oczy, spojrzął na przybyłego i rzekł: „A, to pan staroście, a czego panicz chce?“

„Czy jest już kto w szkole?“

„Nie ma nikogo. Alboćby oni byli przeszli spokojnie koło mnie i zostawili mnie śpiącego na ławie?“

„Słuchaj, będziesz mi dziś potrzebny, mam rozprawę z naszym *dyktatorem*, wyzwałem go na *palcaty*, ma tutaj przyjść o wpół do drugiej i kilkunastu z mojej i z jego strony. Staniesz



we drzwiach i będziesz mi zważał na to, aby nie wszedł Michałek, co to wszystko donosi co się między nami dzieje.“

„A jakże ja go zatrzymam?“

„Zabawiaj go jak możesz, powiedz mu jakie plotki na nas, aby się zatrzymał, a jak to nie pomoże, to użyj siły, nie wpuść go, póki my się nie rozprawimy.“

„A *Pater* co na to powie?“ zapytał zwykłym uśmiechem Faustynek. Lecz żywy staroście nie dawszy mu żadnej odpowiedzi, wpadł do szkoły, wskoczył na ławkę prawej strony, przeliczył na tablicy *partis romanae* ilość zapisanych kresek, zeskokczył, przeszedł na drugą stronę, przeliczył kreski na tablicy *partis graecae*, a potem wróciwszy na środek sali uderzył kilka razy palcatem w ławkę próbując czy mocny, i z miną śmiałą czekał na przybycie przeciwnika swego.

Niedługo zaczęli się zgromadzać stronnicy i przeciwnicy jego; pierwsi stanęli przy ławkach prawej, drudzy przy ławkach lewej strony i rozmawiali z sobą po cichu, lecz tak wszelakoż, iż zgiełk powszechny panował. Nakoniec okazał się dyktator szkoły; było syn podkomorzego ziemi sochaczewskiej, który obok zdolności do nauk i wielkiej pilności, nie miał tych przymiotów serca, co przyjaźń jednają. Był on wypieszczonym jedynakiem ślepo kochających rodziców, przyzwyczajonym do wymagania i otrzymania dowodów uległości od wszystkich, którzy go

otaczali, a przytém był sprzecznym i swarliwym i ustawicznie na współuczniów skargi do profesorów zanosił. Starając się jedynie o względy położonych poświęcał dla nich wszystko, nawet przyjaźń i szacunek rówieśników, bo będąc z natury bojaźliwym potrzebował względów nauczycieli, aby w każdym razie być pewnym ich opieki przeciwko napastującym go studentom. Stanąwszy u drzwi wahał się z razu: czy wejść do sali, czy czekać na przybycie nauczyciela, bo wiedział jakie były zamiary Wacława, owego przeciwnika jego, któregośmy już poznali. Lecz stronicy jego nie dali mu długo rozmyślać i przymocą go wprowadzili do szkoły, żądając, aby się rozprawił z Wacławem. Gdy tedy chcący nie chcący stanął przed nim i zalękniony oczy na ziemię spuścił, zabrał tamtem głos w następujący sposób:

„Koledzy i mnie wielce panowie Bracia! Jeżeli kiedy dobra sława szkoły naszej, i obrona prerogatyw nam służących silnej poręki i obrony potrzebowały, to zaiste w dniu dzisiejszym, w którym postępek, ledwo w Infimie cierpiany, niegodny studenta Retoryki, a cóż dopiero jój *dyktatora*, popelnionym został. Zastarzały zwyczaj dotkliwie dla nas bezprawie między nami utrzymuje; i gdyby o to szło, zrobiłbym teraz pierwszy ten wniosek, aby się wszelkimi siłami o zniesienie jego postarać. Chcę mówić o prawie, jakie służy dyktatorowi szkoły darowania swoich laudesów téj lub owój stronie; laudesów, których

zawsze krociami nabywa dla tego, że niemi dla niego professor szafuje, i że mu się dziesięć razy więcej liczą, niż nam wszystkim. Pomijam niesprawiedliwość samego prawa, lecz wspomnę o nadużyciu, które się, niestety, z Infimy do Retyki zakradło i nam Rzymskiej strony studentom, dzisiaj niezasłużonym upadkiem i upodleniem grozi. Złe jest, iż dyktator może rozdawać do woli laudesy swoje, lecz gorzej, stokroć gorzej, kiedy je sprzedaje.“

Na te wyrazy ozwały się krzyki zgrozy z jednej, a zadawania fałszu z drugiej strony.

„Nie skończyłem jeszcze! Mości Panowie“ zawołał Wacław „Słuchajcie, co na poparcie mego zarzutu przytoczę, przypatrzcie się dowodom, jakie wam przedstawiam! Pan Podkomorzyc, dyktator nasz, mając ogromny zapas dwóchkroć trzydziestu tysięcy laudesów, przez tydzień uzbierany, chce go nie już darować Greckiej stronie, która ich tylko pięćdziesiąt tysięcy liczy, ale postanowił je sprzedać za pierniki, owoce i inne łakocie, tym sposobem nas, Romanae partis studentów, pognębić, a przekupujących go Greków do naszego wynieść zaszczytu. Ale szczęściem dla dobrej sławy i szkoły i partyi naszej, dowiedziałem się dosyć wczesnie o tym niegodnym frymarku, a chcąc się o prawdzie przekonać, ofiarowałem Podkomorzycowi ten kawał lodowatego cukru w zamian za sto tysięcy laudesów, aby go wypróbować, a on śmiał się targować ze mną i oświadczyć mi: iż to było zamało, gdyż mu strona przeci-



wna daleko większe dary przeznaczyła. I cóż teraz powiecie na te dowody? niechajże śmie zaprzeczyć temu com powiedział? mogąż mu darować tę sromotę? mamże się z moją partją poddawać bez walki? ustąpcie się ze środka, koledzy! bierz palcat do ręki i stawaj niezwłocznie do walki, bo inaczej postąpię sobie z tobą, jak z tehrzem postępować należy!

„Hola bratku“ ozwał się na to donośnym głosem jeden ze studentów lewej czyli Greckiej strony, który wlaższy na ławkę oparł się na ramię przed nim stojących jedną ręką, a drugą groził Wacławowi palcatem. „Hola bratku, nie tak zuchwale! bo się tu nikt ciebie nie boi; to, coś powiedział, obraża nas wszystkich, ze wszystkimi tedy będziesz miał do czynienia. Bo kiedy twierdzisz, żeśmy chcieli przekupić dyktarora, dajesz nam przytyk, jakbyśmy sami sobie na jego względy przez naszą większą od waszej pilność zasłużyć nie mogli.“ —

„Co! wy pilniejsi od nas?“ zawołali z głośnym śmiechem przeciwnicy, — „a zwłaszcza ty może, coś wczoraj jeszcze *scamnum asinorum* zajmował?“ rzekł Wacław. —

„Gdyby było dosyć miejsca na niém, tobym was wszystkich powinien był mieć za sąsiadów.“ — Odparł tenże żywo. — „Ale jeżeli siadam niekiedy przy piecu, to ci dowiodę, że się za piec nie schowam, gdy o poszukiwanie obelgi idzie.“ —



To rzekłszy przeskoczył przez wszystkich na środek sali i nie bawiąc natarł na Wacława, który zręcznie pierwsze uderzenie palcatą odwrócił. Oburzyli się wszyscy na tę niespodziewaną napaść, a dyktator korzystał z pierwszej chwili rozruchu i uciekł chyłkiem do katedry, w której się ukrył. Obiedwie strony, zagrżane mowami swoich dowódców, poczytały rozpoczętą walkę za pospolitą sprawę, i Rzymianie tak mężnie na Greków natarli, iż każdy swego schwycił i że się powszechna bitwa rozpoczęła. Zrazu uwijały się nad głowami palcaty, lecz przy natłoku, w ścieśnioném miejscu musiano tę broń porzucić i samym pięściom zaufać. Słabsi zagrożeni od silniejszych przeskoczyli ławy i tam, jak z za szaniców, rzucali kałamarzami, i wkrótce całą szkołę i wielu z walecznych atramentem zalali.

Zamieszanie i hałas tak były wielkie, iż ludzie stawali na ulicy i że przecię zdołały przebudzić profesora, który miał jeszcze urzędowy kwadrans do spania, nim się miała szkoła rozpocząć. Przelękniony i rozgniewany zbiegł na dół korytarzem do sali, której drzwi na klucz zamknięte zastał.

Faustynek bowiem chcąc się przysłużyć swemu Paniczowi rozumiał, że najlepiej było zamknąć szkołę, aby się niebezpieczny Michałek do niej nie zakradł, i schować się samemu w kącie, póki godzina rozpoczęcia nauki ni wybije. To stało się przyczyną większego zamieszania między studentami i większej niespokojności w profesorze,

bo ci, którzyby chcieli byli szukać ocalenia w ucieczce, musieli chcący nie chcący przyjmować i odbierać razy, a nauczyciel długo na próżno stukał we drzwi i wołał co siły, aż nie mogąc nic poradzić wrócił po ludzi i drzwi wybić kazał.

Co za widok stawiał mu się przed oczy! kilkadziesiąt pięści nawzajem we włosach ujętych, jedna część uczniów na ziemi jęcząca pod przemocą zwycięzców, inna chroniąca się po ławkach, jeden na piecu bezpieczny i dwóch wdzierających się do niego; ściany obryzgane atramentem, struga téj czarnej posoki na podłodze, wszystkie niemal suknie i twarze umazane, a nad wszystkimi na wierzchu katedry Waclaw jako zwycięzca wyciągający z niej za włosy wybladłego dyktatora.

Łoskot wywarcia drzwi i donośny głos wchodzącego profesora obity się o uszy studentów, wstrzymali się wszyscy na chwilę i każdy został w tém położeniu, w jakim się właśnie znajdował, to jest trzymał, lub był trzymany. Drugi okrzyk nauczyciela, uśmierzył nieco zapal, ręce puściły włosy, gradła i barki, gdzie niegdzie jeszcze ostatnie uderzenie odwetu słyszano, za trzecim zawołaniem zeskoczyli z ławek, zlazili z pieca i Waclaw zszedł z katedry i groźnym tylko okiem na puszczonego dyktatora poglądał.

Po uciszeniu nastąpiła pierwsza inkwizycja; Grecy otrzymali głos od profesora i znaleźli wiarę u niego. Wszyscy mianowali Waclawa głównym sprawcą niespokojności, a miejsce, jakie przy wejściu nauczyciela zajmował, i czynność, jaką

był wówczas zajęty, potwierdzały to świadectwo większości. Ani można było myśleć o nauce, bo na to zawiele było otrzymanych guzów, zanadto wszystko było poprzewracane. Lecz trzeba było wydać przedstanowczy wyrok i wykonać go niebawnie. Jakoż przywołany Waclaw miał sobie ogłoszony wyrok skazujący Waclawa na otrzymanie prowizoryjnie plag dziesięciu, a kalafaktor, który się był nieznacznie wsunął do sali, został przywołany do wypełnienia obowiązku swego.

Przy piecu będąc nie mógł Faustynek usłyszeć imię delinkwenta, dlatego sięgnął obojętnie po kańczug, ustawił stółek i czekał zbliżenia się skazanego, który pierwszy raz na hańbiącą karę, bez dostatecznego przekonania, skazany opierał się z całej siły tym, którzy go prowadzili. Lecz gdy ten stanął w miejscu fatalnym, skoro go spostrzegł Faustynek, rzucił kańczug na piec, obalił stółek nogą i sam rozpychając wszystkich za drzwi uciekł. Ten niespodziany obrot rzeczy zdziwił wszystkich a zmieszał profesora tak dalece, iż niewiedząc co ma począć a obawiając się powszechnego powstania, za przykładem nieuległości samego nawet kalafaktora, zawiesił wykonanie wyroku, i kazawszy osadzić Waclawa w karczerie, aż do dnia następnego, rozpuścił szkołę. Lecz kara nie była dnia tego przeznaczona dla starościca, bo trafem szczęśliwym zdołał wkrótce oswobodzić się z karceresu i wraz z przychylnym sobie Faustynkiem w ucieczce szukać ocalenia.



## ROZDZIAŁ II.

### *Rada i Wyrok.*

Z miejsca pobojuwiska udał się professor retoryki do rektora i zdążając do mieszkania jego, rad był gdy się do końca korytarza dostał, a bardziej jeszcze, gdy wszedłszy na wschody zgiełku już za sobą nie słyszał. Trzeba było niezwłocznie przedsięwziąć środki surowe dla pohamowania zuchwałych, zwłaszcza że studenci, wyszedłszy ze szkoły, nie rozchodzili się z przed domu, lecz zbierając się coraz w większej liczbie zdawali się oczekiwać dalszych rozporządzeń władzy szkólnej i coraz głośniej dopominali się sprawiedliwości i zmiany zbyt stronnego wyroku.

Rektor należał do tych dobrotliwych ludzi, którzy nie urodziwszy się do przewodniczenia jakiej korporacyi lub magistraturze, muszą przez



ślepy traf losu być przełożonymi. Miał on między nauczycielami powiernika i doradcę, który go zastępował w najtrudniejszej czynności jego życia, to jest w myśleniu o tém, co czynić wypada: tak dalece iż, gdy rektor wydawał rozkazy, można go było porównać do *tuby maryny*, przez którą się kto inny odzywa. To umysłowe zastępstwo tak go od wszelkiego samodzielnego postępowania odzwyczaiło, iż nie wcale nie przedsiębrał, ani wykonywał, skoro tylko wiernego doradcy niebyło.

A to miało miejsce właśnie teraz, kiedy zachodziła potrzeba szybkiego rozstrzygnięcia i stanowczego działania w zatrważającej okoliczności. Gdy professor świadek bitwy studentów wpadł zadyszany do jego mieszkania, zerwał się rektor przelękniony z miejsca, spojrział na niego z wyrazem trwogi, i przykładając rękę do serca, które mocno biło, zapytał: Dla Boga czy gore?'

— Gdzie tam, jeszcze gorzej.

— Jeszcze gorzej! ach ja nieszczęśliwy! To powiedział rektor i rzucił się w krzesło, bo się nogi zbyt mocno pod nim chwiały.

— Cała Retoryka do góry nogami przewrócona.

— Jakto, czy się sala zapadła?

— Jeszcze gorzej, bo wszyscy studenci...

— Przywaleni może.... Ach dla Boga, wszakżeśmy mówili o tém, że sklepienie narysowane i że trzeba będzie...

— Ale gdzie tam sklepienie! to stoi, jak stało, lecz studenci wszyscy... (tu odetchnął mocno mówiący z powodu zadyszania.)

— Studenci wszyscy, ani jeden nie zdążył uciec?

— Ale kiedy drzwi były zamknięte, dlatego wszyscy chący niechący musieli się bić z sobą. —

— Jakto bić? rzekł uspokojony rektor, więc to się sklepienie nie zapadło, ani się dom nie pali, tylko studenci się bili?

— A któż mówił o tém, żeby się co paliło, lub zapadało.

— Ale cała Retoryka ma być do góry nogami przewrócona?

— Tak jest; to się ma znaczyć, że się studenci przy drzwiach zamkniętych tak zacięcie bili między sobą, iż nie tylko się sami pokaleczyli, ale i całą szkołę, katedrę, ławki, i kałamarze, wszystko prawie poprzewracali. — Ja przychodzę po rozkaz co trzeba zrobić, bo rzecz jest nagła. —

Rektor obejrzał się jakby kogoś szukał, krząknął parę razy, zająknął się tyleż i odpowiedział: To... to... trzeba kazać poustawiać na swoje miejsca ławki. —

— A ze studentami co zrobić?

— Czy się jeszcze biją?

— Nie, ale....

— To chwala Bogu, kiedy się już nie biją!

— odpowiedział rektor, wstał, poszedł do profesora i uściskał go

— I cóż z tego, że się nie biją, ale trzeba ich ukarać za to, że się bili, bo będą jeszcze zachwalszymi nadal. —

— Nie mówmy o tém teraz; dajmy pokój temu, bo nie masz profesora arytmetyki... jutro... jutro... zobaczymy. —

— Ale ja jednego głównego dowódcę osadziłem w karceresie. —

— To dobrze, to bardzo dobrze, rzekł z pewnym przyciskiem rektor. —

— Ale ten osadzony jest synem starosty, który się może za to gniewać.

— To źle, to bardzo źle, odpowiedział z pomieszaniem rektor. —

— Jeżeli go każemy wypuścić, to najwięksi wicherzyciele jeszcze zachwalszymi będą. —

— Tak, tak. —

— Jeżeli go zatrzymamy w karceresie, to go gotowi odbić przyjaciele, których ma wielu. —

— To prawda, prawda. —

— Możeby go lepić było wypuścić?

— I zapewne, zapewne. —

— Ale znowu gotów się za to gniewać pan podkomorzy, bo jego syn jest najbardziej pokrzywdzony od niego. —

— A to nie dobrze, nie można gniewać pana podkomorzego.

— Trzebaby zrobić indagacją między stu-



dentami, może się znajdzie winniejszy, który nie będzie ani starościcem, ani podkomorzycem. —

— Oj to, to, zrobić indagacją.

— To trzeba, ażeby pater rektor sam zeszedł do nich i sam ich słuchał po kolei. —

Na te słowa zatrzymał się rektor na środku pokoju, po którym chodził szybkim krokiem, zacierając niekiedy ręce, gdy podana myśl trafiła mu się zdawała, a zakładając je wtył przy każdej nowej trudności i oglądając się przytem na drzwi, czy pożądany sprzymierzeniec nie nadchodził.

Uderzyła go dotkliwie ta myśl, że ma sam bez doradcy zapuszczać się między uczniów, dać zdanie stanowcze, na tysiącznych sprzecznych z sobą zeznaniach ugruntowane.

Nie wiedział, co ma odpowiedzieć, lecz to przynajmniej postanowił, iż nie zejdzie do uczniów i rzekł szybko: Nie, tego ja nie zrobię, bo... bo... ale bo nie mogę zrobić.

— A więc trzeba zwołać na radę wszystkich professorów.

— A zwołać, zwołać, niech przychodzą, a nadewszystko posłać po profesora Arytmetyki, który zapewne jest na Nowém mieście. W Pan wiesz dobrze w którym domu.

Wyszedł professor Retoryki, a rektor rzucił się powtórnie w krzesło, aby spocząć po wielkiem utrudzeniu i sam z sobą zostawszy, zastanowił się nad tém, co czynić wypadało; chciał on myśleć koniecznie, chciał nadewszystko

cośkolwiek postanowić, ale ile razy się zapuścił w ten ciemny dla niego zawód, zawsze zbłądził między krzyżującymi się wyobrażeniami karceresu i napaści nań studentów, kańczuga i potrzebnej łaski panów starostów i podkomorznych; a choć go kiedy szczęśliwy pomysł na prostą drogę wyprowadził, zaraz napotkał na niej swego despotycznie nad nim panującego powiernika, widział jego twarz surową, słuchał naganę powziętej myśli, truchlejąc zbaczał z drogi i znowu błądził bez żadnego celu. —

Wszedł jeden z przywołanych nauczycieli, kłaniając się pokornie przy drzwiach i coraz niżej, im więcej się do przełożonego zbliżał; zajął miejsce przy stole za naleganiem rektora i z zadziwieniem pytał się o powód zwołania całego zgromadzenia. Następnie słuchał z uwagą opowiadania i naprzód syknął, potem podniósł oczy z wyrazem zaleknionego do góry, dalej ruszył ramionami i w końcu ręce nieco uniół, a wszystko z takim zadziwieniem, jakby jeszcze nie widział. — Skończywszy opowiadanie zapytał go rektor, coby czynić wypadało.

— Ja prawdziwie niewiem, jak najlepiej radzić, dodał ze skromną pokorą, lecz rozumiem, że który z kolegów, zwłaszcza właśnie nieobecny w domu najlepszą radę dać potrafi. A zresztą, co tylko rektor postanowi to niezawodnie dobrze będzie.

— A kto zaś słyszał tak długo zwłóczyć w nagłej potrzebie, zawołał wchodząc do izby

gruby, wysoki, i rumiany professor. — Czego tu radzić, gdzie idzie o poskromienie swawoli chłopaków? Kazać brać z kolei na stolek, a wnet stanie się zadosyć sprawiedliwości, i winni pewno ukarani zostaną.

— Ale za pozwoleniem — rzekł inny kolega przybyły pod czas tamtego przemowy — to są dzieci, to są młode chłopcy, którzy zwyczajnie poswawolili trochę, ale nie tak bardzo naganęgo nie popełnili. I cóż z tego choć się trochę podrapali i powalali atramentem; dobrze że się zaprawiają do rozruchów i bijatyk, bo będą wytrwali na sejmikach. —

— Ja rozumiem — odpowiedział pierwszy pokorny kolega, patrząc przez okno, do którego był przyszedł, z powodu usłyszanego hałasu — że jednak wypada cośkolwiek postanowić, bo studenci gromadzą się przed domem.

— Decymować, decymować, mówię, jeżeli nie każdemu dać pamiętne — odparł tłusty i surowy kolega.

— Ale gdzie zaś kto słyszał? nie wiedzieć za co? odpowiedział łagodny — wszak prawda panie rektorze?

— Zapewne, zapewne — rzekł tenże. —

— Po cóż mnie było wołać, kiedy moja rada za nic — zawołał surowy kolega i zabierał się do drzwi.

— Ale proszę bardzo — rzekł rektor zastępując mu odedrzwi, przystając i owszem na



to, aby być surowym trzeba dać przykład, trzeba winnych ukarać.

— A kiedy winnym jest podobno Wacław syn pana starosty, dodał z dwuznacznym uśmiechem pokorny kolega.

Wtém wszedł professor Retoryki i oznajmił, iż, dowiedziawszy się, gdzie się wiadomy sprzymierzeniec znajduje, posłał po niego, i że spodziewa się, iż wkrótce nadejdzie. Ucieszyła ta wiadomość rektora, a uwolnionym będąc od kłopotu powzięcia stanowczego zdania, nie zważał wcale na toczącą się dyskusją między profesorami, i o obojętnych rzeczach z jednym z nich mówić zaczął, aby przerwać bezskuteczne na teraz rozprawy, i rzecz do przybycia pomocnika zawiesić. —

Po chwili otworzyły się drzwi i oczekiwany przyjaciel wszedł z wyrazem niechęci na twarzy, zajął milcząc miejsce obok uśmiechającego się mile rektora, nie zważał na ściskanie rąk tegoż i wysłuchał spokojnie całej relacji profesora, który był świadkiem zdarzenia, jako i różnych zdań kolegów. Poczem przechylił się, uniósł głowę nieco do góry, spojrzął z niechęcia na pióro, które w rękę trzymał i gniótł po stole, i rzekł z wyrazem niezaprzeczanój wyższości:

— Wszystko to nie ma sensu, trzeba nam pamiętać na to, iż w tym, jako i w każdym innym razie, nie chęć ukarania uczniów, lecz

wzgląd na nasze dobro postępkami naszymi powodować powinien. Trzeba ukarać kogoś, bo exces został popełniony; ale wyrokując, nie trzeba się narażać tym, którzy nam szkodzić mogą. Starościca trzeba natychmiast wypuścić, podkomorzycza ulagodzić czém bądź, pogodzić obudwóch z sobą, a ukarać przykładnie Faustynka kalafaktora, bo za tym się nikt nie upomni, a ten łatwo za najwinniejszego poczytany być może, ponieważ nie wypełnił rozkazu zwierznika swego, i był nie tylko nieposłusznym, ale nawet zuchwałym.

Wiwat! — krzyknął rektor powstając — oto mi rada dopiero. Rozkazuję więc wypuścić starościca, a Faustynka wsadzić do karceressu i jutro wyliczyć mu... tu się zatrzymał, i obracając się do doradzczy zapytał: wiele?

— Nie będziemy podobno ani uwalniać, ani wsadzać do więzienia — rzekł z uradowaniem złośliwości pokorny kolega, który nie odstępował od okna — bo oto wychodzą studenci ze szkoły, niosą starościca na ramionach i prowadzą pod ręce Faustynka kalafaktora wydając okrzyki radości. — Rozstrzygnęli oni prędzej od nas los tych, o których my tutaj tak długo radzili. —

Nastąpiło milczenie w całej radzie: rektor poglądał z miną pożałowania na swego doradzcę, jakby go chciał przeprosić za to, co się stało. On zaś milczał chwilę, spojrział po-





## ROZDZIAŁ III.

### *Gościnność.*

W saméj istocie nie było już w szkole ani więźnia, ani tego, który niewinnie za wszystkich miał cierpieć, wtenczas gdy o ich losie radzono, w półgodziny nie było ich nawet i w Łowiczu, bo szybkim krokiem ku Sochaczewu pospieszali, Waclaw naprzód, a Faustynek, sam niewiedząc dla czego i po co, za nim, przy czém obadwa zachowywali milczenie i tylko kiedy niekiedy oglądali się niespokojnie za siebie.

Nakoniec stanął Faustynek znużony pochodem, którego końca i celu nie wiedział i zawołał na idącego naprzód Waclawa: panie! a dokąd my idziemy?

— Do domu. —

— A kiedy tak, to ja się wrócę, bo my dzisiaj nie zajdziem cztery mile okrutne, a ktoby jutro Retorykę zamiótł?

— Czyś niespełna rozumu? rzekł Wacław, zatrzymując się, tobie wracać do szkoły! a czy to nie wiesz co ciebie czeka za to, żeś nas zamknął, żeś ich nie słuchał i mnie wypuścił z karceresu?

— A co mnie ma czekać? — ja nic złego nie zrobiłem; co ja temu winien, że się studenci pobili? Nie chciałem się wprawdzie wziąć do kańczuga, ale po coż mi kazali bić mego pana? każdego innego czemu nie, ale pana starościca broń Boże, coby na to tatynek i matynka powiedzieli. — Albo co ja temu winien, że panicz wyszedł, kiedym ja drzwi otworzył. — A choćby też tak było, wielka rzecz, i cóżby mi zrobili, te kilkanaście plag... czyli mi to pierwszy raz.

— Ale kiedy nie dbasz o własną skórę, to się przynajmniej zmiłuj nademną. Ja do Łowicza nie wrócę, a nie wiem drogi do domu, bom tu nigdy pieszo nie szedł.

— Oto, opowiedział Faustynek, przystępując do niego i skazując ręką prosto, na prawo i na lewo — w miarę że dawana instrukeya tego wymagała: — „Oto pójdziesz pan starościec prosto, prosto, aż do téj tam figury, co nad drogą stoi. — Tam będzie droga na lewo, nie, nie, chciałem mówić na prawo, ale tak ksobie będzie droga, to nie trzeba nią iść, tylko od siebie ścieszką, bo to bliżej, ale nie trzeba dochodzić do wsi, oto téj tam, bo to Zabostów wieś, tylko jak się skończy, iść precz, precz prosto miedzą, co na niej stoi gruszka, a potem... —

— I co mi ty tam gadasz, ja właśnie mam spamiętać wszystkie figury, ścieżki i miedze; oto powiedz, chcesz iść, albo nie?

— Ale panie starościcu, jakże mam pójść, kiedym ja tam potrzebny...

— A ja się nie pytam, czyś ty potrzebny czy nie, czy chcesz, czy nie chcesz, tylko każę, więc musisz, bo inaczej — to mówiąc, podniósł kij do góry i pogroził nim Faustynkowi. —

— No pójde już, pójde, odpowiedział tenże, usuwając się na bok, tylko niech Pan da pokój, ale mnie Pan każesz zaraz odesłać, jak przyjdziemy!

— No zgoda na to, a kiedyż my zajdziemy?

— Ha! tak koło świtu może.

— Na to niema zgody. Trzeba będzie nocować.

— Ha dobrze, zajdziemy do której karczmy.

— Nie, ja pieszo do karczmy nie pójde.

— A ja się też w boru nocować boję, bo tu są wilki, strachy i Bóg wie nie co.

— Jakaż tedy rada?

— Jać mam dla siebie dobry nocleg po drodze o milę ztąd, ale najgorzej Pan starościcu, nie wiem, co z sobą zrobi.

— Gdzież to? u kogo? czemużbym nie miał razem z toba zanocować?

— A jakże to będzie, żeby Pan starościcu miał przyjść pieszo do szlachcica?

— A co to za jeden?



— Oto tak: z tamtęj strony Bzury, a można ją przejść, bo pod tamtą wsią jest most, z tamtęj strony pod Kęszycami mieszka stary szlachcic. Ale to dawny zuch, dawny wojak, który zawsze prawi o wojnach; a ja go lubię słuchać, bo to aż strach, jak zacznie gadać, co to było kiedy bywały wojny. Nazywa się Dulski, ma żonę tak starą, jak on sam, ale za to córkę Anielę młodszą od nich obojga. A ta córka, trzeba wiedzieć Panu starościcowi, jest ładna. Tu się rozśmiało głośno. Ładna, co się nazywa, i mój tatynek chce — ha! ha! ha! — chce, żebym ja się jój zalecał. Bo trzeba Panu wiedzieć, że kto się ożeni z Anielą, to dostanie tęgą fortunę szlachecką, będzie z dziesięć morgów gruntu w każdym polu, do tego tęga łąka nad rzeką, można ze sześć krów i parę koni chować, a do tego dworek porządny, a kto wie, może jeszcze jaki grosz z dawnych czasów zachowany, bo stary był kutwa, nie nie stracił ani na jarmarku, ani na odpuscie.

— A no, to idźmy tam! rad będę poznać twoją narzeczoną.

— E gdzie zaś, to się nie godzi!

— Jak to się nie godzi?

— A jużci, bo gdybyśmy tam poszli, toby mię się pytali, z kąd idę? Jakże im powiem, z Łowicza, czy z Sochaczewa? A potémby się pytali, dokąd idę? No i cóż im powiem? toć oni wiedzą, że moje prawo jest siedzieć w szkole. A potémby się pytali: a to co za jeden, co z

Wasanem idzie, Panie Faustyńku? Cóżbym ja im na to wszystko odpowiedział?

— Co? oto prawdę, wszystko słowo w słowo jak się stało.

— Ej zaś, jakże to będzie z tém wyjechać?

— Jak? zdaj to na mnie i prowadź.

Faustynek kiwał głową i szedł naprzód przewodnicząc do mieszkania Dulskiego, do którego Waclaw szybszym zmierzał krokiem, odkąd się od niego o pięknej Anieli dowiedział. Ciekawy był poznać go dla tego, że znając tylko z dziejów czyny bohaterские, a pałając żywą chęcią wstąpienia kiedyś w ślady walecznych przodków, uwielbiał każdego wojskowego, który jeszcze chlubne wyprawy Polaków zapamiętał i zazdrościł mu tego, iż żył w czasie, gdzie jeszcze można było znaleźć sposobność wslawienia się czynem bohaterskim. Dotego wspomniał był jeszcze Faustynek o pięknej Anieli... I któżby mógł mu wziąć za złe, że w tém mocniejszą pobudkę do szukania przytułku w gościnnym domie starego wojaka znajdował?

Po pewnym przeciągu czasu, który Faustynek przegadał, a Waclaw przedumał, nie zważając na jego powieści, jak wtedy chyba, gdy się imię Anieli o jego uszy obilo, ujrzeli nasi podróżni kilku ludzi z grabiami z pola boczną drogą wracających. To on! zawołał Faustynek, to Pan Dulski! poznaję go po dużym kapeluszu słomianym; wraca z czeladzią swoją z pola. Pocze-

kajmy tu na drodze, aż nadejdzie, to pójdziem razem z nim do domu.

Zatrzymali się w miejscu, a wkrótce zbliżył się ku nim rzeźwy starzec, niósł grabie na ramieniu, szedł żywo przed czterema ludźmi, a postrzegłszy naszych wędrowników, opodal jeszcze będąc od nich, przyłożył rękę do kapelusza, i zasłaniając się od blasku zachodzącego słońca patrzył na nich, chcąc ich poznać. Lecz gdy się zdaleka nie mógł domyslić, kiwnął głową i kroku przyspieszył; nakoniec zbliżywszy się do Faustynka rzekł:

—A witajże Panie Bracie, zkadże tutaj i o téj porze, Panie Faustynie? Czy do mego domu? Mości Panie rad Wam będę. A kóztó jest ten panicz, Mości Panie? Jak to? tak per pedes apostolorum?“

Faustynek zdjął był czapkę, kręcił i gniotł ją w rękach i krztusił się, aby jaką taką odpowiedź wymęczyć. Lecz Waclaw uprzedzając go zabrał głos, pokłonił się uprzejmie starcowi, opowiedział mu otwarcie całe zdarzenie i cel podróży, lecz przytem nie wymienił swego nazwiska, mówił tylko w ogólności o sobie, jako o studencie niesprawiedliwie prześladowanym.

—Mości Panie, odpowiedział na to Dulski, być to może prawdą, co mi Waszmość Pan powiadasz, a ja nie mogę być sędzią postępków waszych, ale jeżeli chcecie wzbudzić ufność we mnie, raczcież mi wyjawić swoje nazwisko. — Waclaw uczynił zadosyć jego życzeniom, i gdy mu



otwarcie oświadczył kim był, zdjął starzec kapelus, zbliżył się do niego, ścisnął go lekko za kolano i rzekł:

— A ściele się pod stopki pana starościca, bardzom rad, że mu mogę być użytecznym; słońce już zaszło, w moim ubogim domku wygodniej jednak będzie nocować, jak w lesie lub w karczynie; a jeżeli z równie dobrém sercem przyjmie pan staroście, czego mu chudoba moja dostarczyć może, jak ja je ofiarować będę, rozumiem Mości Panie, że i wczas i posiłek dostateczny u mnie znajdzie.“

Szczerze ścisnął rękę starca Waclaw, i dziękując mu za dobre serce, szedł obok niego ku domowi, a Faustynek postępował po drugiej stronie drogi, potakując głośnym śmiechem ich rozmowie.

O staj kilka od kręto płynącej rzeki, na wesolém błoni, dojrzałém zbożem zewsząd otoczonym, stała skromna zagroda szlachecka, w której wszystko porządek i dobry byt onaczało. Podwórze, ogród, sadek, i paśnik przed domem, wszystko było wygrozione starannie, tak iż żadnego kolka, żadnej żerdzi nie brakowało. Wysoka brama z tarcie zrobiona, a obok niej niska furtka takż świadczyły, iż gospodarz pamiętał o bezpieczeństwie i miał zapewne czego pilnować. Na środku podwórza stała wysoka lipa, a pod nią duży kamień za ławę służący. Dworek był drewniany, świeżo i gładko słomą posyty, z wystawą na dwóch filarach sztucznie toczonych, w

oknach były drobne, lecz wszystkie całe szyby. Na lewo dworku stał lamus mały z murcwanem wejściem, nieco w ziemię wpuszczony, do którego była ścieżka od dworku mocno wydeptana.

Na lewo mały szpichlerek, ze szczytem naprzód wystającym, warownie na kłótkę zamknięty. Za nim stodoła naprzeciwko, a po dwóch bokach w małym okólniku obora ze stajenką pod ścianą stodoły. W sadku, który był za zabudowaniem dworskiem, stało kilkadziesiąt pni pszczoł, ze szczególnym upodobaniem i nader starannie przez gospodarza chodowanych.

Gdy wchodzili na dziedziniec zerwał się duży pies z przed sieni i śmiało natarł na przybywających, póki go głos pana nie poskromił. Waclaw dobrze dla gospodarza uprzedzony przez to, co mu Faustynek powiedział i przez uprzejmość i rozsądek, które w rozmowie okazywał, utwierdził się w dobrém mieniu o nim, gdy wchodząc do zagrody spostrzegł wszędzie znamiona zamożności i porządku. To wrażenie przyjemniejszém się stało, gdy ujrzał młodą i piękną dziewczycę, która szła od lamusu do dworka krokiem wolnym i ostrożnym, bo niosła w obu rękach pełną misę mleka.

Domyślił on się łatwo, że to musi być Aniela, bo Faustynek uśmiechnął się i żywo zdjął czapkę z głowy, skoro ją tylko spostrzegł.

Uderzyła Waclawa zajmująca postać dziewczyny i pewien wyraz szlachetności na twarzy,

jakiego się u córki prostego szlachcica nie spo-  
dziwał.

Do tego ubiór jój, jakkolwiek pospolity,  
odznaczał się pewną wytwornością. Gdy usły-  
szała psów szczekanie, zatrzymała się na ście-  
żce, a gdy spostrzegła zbliżających się gości, a  
nadewszystko dorodnego Waclawa, którego sam  
ubiór bardzo od towarzysza odznaczał, zmieszała  
się, przechyliła nieco naczynie, aż się trochę  
mleka odlało na ziemię, zwróciła oczy na nie i  
żywy rumieniec okraślił lica.

— To moja córka, panie starościcu, rzekł sta-  
ry Dulski, jedyna nasza pociecha.

Sklonił się uprzejmie Waclaw, lecz nie śmiał  
nie na pochwałę Anieli powiedzieć, bo skromność  
jój była tak szczerą, iż poniewolnie wzbudzała  
poważanie, a wrażenie Waclawa tak miłe i nie-  
spodziewane, iż nie mógł wyrazom uczucia swe-  
go powierzyć. Zatrzymała się w przedsionku,  
aby przepuścić wchodzących gości, a Waclaw,  
nawykły do uprzejmości dla płci pięknej, nie  
chciał wziąć kroku przed nią i przez chwilę  
ustępowania z obojój strony z pewnym zapo-  
mnieniem na twarz Anieli poglądał.

— A, panie starościcu! to się nie godzi, rzekł  
Ojciec; a te wyrazy sprowadziły rumieniec na  
twarz Waclawa i wprawiły go w pomieszanie;  
aż gdy dokończając mowy rzekł dalej gospodarz  
domu: „gościowi, a zwłaszcza takiemu, należy  
się zawsze pierwszeństwo. Proszę bardzo Pana  
mego na prawo, na prawo . . . ho tam, to sobie



moja Aniela do swego gospodarstwa pójdzie wy-  
ręczać matkę, która mi od kilku dni chora, ale  
dzisiaj już lepiej chwala Bogu, po trochu już  
chodzić zaczyna.“

Ten sam porządek, też same znamiona za-  
możności, które spostrzegano na podwórzu i w  
całym zabudowaniu, panowały także w mieszka-  
niu, do którego podróżni nasi weszli.

W rogu dębowa otwarta szafa, lśniaca się  
od czystości, w niej cynowe talerze, kilka kielis-  
zków, a każdy inny i jeden puhar wiwatowy;  
na niej wysuszone tykwy różnego kształtu, a bli-  
zko przy niej na drzwiach mała cynowa ampulka  
z krzyżem na wierzchu, w której zachowywano  
święconą wodę. Z drugiej strony drzwi wcho-  
dowych, kominek szafiasty, kartunową w kwiaty  
firanką zasłoniony, dla tego, że niesłużąc do  
właściwego użytku w lecie zawierał za tą osłoną  
jeden i drugi gąsiorek miodu, którym się nie-  
kiedy gospodarz posilał. Pod ścianą naprzeciw  
komina podwójna kotara, której uchylona firan-  
ka pozwala dostrzedz znak Zbawiciela nad we-  
zglowiem na ścianie, i sznur biały z dużym wę-  
złem we środku kotary umocowany, który uła-  
twiał podnoszenie się z pościeli. Pod oknem  
prosty stół dębowy i parę stolików takich, które  
wraz z ławą przy piecu do spoczynka mieszkań-  
ców służyły.

Naprzeciw łóżka na ścianie dwie szable, na  
krzyż zawieszzone, znak dawnego powołania go-  
spodarza.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, rzekł Dulski, gdy wszyscy do izby weszli. Witajcież mi panowie na tém miejscu, spocznicie sobie po podróży, bo musicie być zmęczeni, zwłaszcza pan staroście, który nie nawykł do pieszej podróży. Pójdę przynieść wam co do ochłody i do ugaszenia pragnienia. Co Bóg dał, to przyjmiecie; jest mleko świeże, ale to nic nie warte po przechadzce, ja zawsze wolę piwo, wszak prawda panie starościcu? Albo może wolicie co innego? abym miał w domu, to wszystko na wasze usługi.

— Dziękuję Wam za gościnną uprzejmość, rzekł Wacław, ściskając rękę gospodarzowi; dla mnie wszystko dobre, co tylko mi ofiarować będziecie.

To rzekłszy posunął się ku ścianie, na której wisiały pałasze i z ciekawością im się przypatrywać zaczął. Czy Wy się znacie na dobrej broni? zapytał Dulski. Próżne to dzisiaj sprzęty, do stroju tylko potrzebne, ale wierzajcie mi, młody Panie, nie zawsze one tak próżnowały. Jeden z nich służył ojczyźnie i dobrej sprawie, i z tym się nawet po śmierci nie rozłączę.

To wszystko mówił krzątając się koło dostarczenia piwa dla gości, dostał z komina z za firanki gąsiór gliną zatkany, nalał sobie szklanicę, wypił ją w ręce starościca i oddał mu ją napełnioną po brzegi, a gąsiór na stole postawiwszy, zbliżył się do ściany, wziął pałasz krzywy, nieco ozdobniejszy i rzekł:

— Przypatrzcie mu się dobrze, panie starościcu, to turecki prawdziwy, za to ręczę, bom go sam dostał w Benderze wówczas, gdy nam Bisurmanie do naszej ziemi powrót ułatwić mieli i gdyśmy jeszcze mieli nadzieję, że nam król Stanisław panować będzie, a jaki król do tego!

— Powiedzcie nam co o tym królu, ozwał się Faustynek, bo ja lubię o nim słuchać, chociaż to nie tęgi był król, kiedy się dał wypędzić.

— Ciszéj Bratku! przerwał Dulski, z większym uszanowaniem o królu Stanisławie. Tém bardziéj godzien był czci naszej, że był nieszczęśliwym. Oj ponoby dzisiaj inaczej było w kraju, gdyby on nam był panował.

— Toście Wy za królem Stanisławem niegdy wojowali? zapytał Waclaw.

— Za nim aż do ostatniéj chwili, i wówczas jeszcze porzuciłem dom i żonę, kiedy do nas z za granicy powrócił; pod Gdańskiem ostatni raz wyszła ta szabla z pochwy, odtąd wisi w kurzu i już nie doczeka się świetnéj pory dla siebie, chyba gdybym się jeszcze jednéj miał doczekać elekeji. Kto wie, coby się wtedy stać mogło? przecieżby się może jaka konfederacya. . . . Ale co tam o tém z wami mówić, panowie młodzi, wy tego nie znacie, nigdy już może znać nie będziecie. . . . Toto był czas szczęśliwy, kiedy człowiek był konfederakiem, bieda dokucała nie raz, musiałeś odbiedz wszystkiego, a gdyś powrócił, zastałeś kamień na kamieniu, ale



była święta wolność i swoboda, człowiek wojował za sprawę, jaką sobie obrał, był wiernym panu, któremu służył i sumienie było lżejsze. A teraz! Ech co tam, w ręce Pańskie, Mości starościcu! To mówiąc nalał drugą szklanicę, którą wypił szybko i z wyraźną niechęcią, i podał nalawszy znowu Wacławowi.

— Oj, Panie Bracie, rzekł tenże odbierając ją uprzejmie, nie macie podobno czego narzekać, wiek młody strawiliście na usłudze krajowej, podeszły przepędzacie spokojnie między swoimi, a nam podobno takiej nie dostanie się pociechy; kto wie, czy starość nasza będzie się cieszyć wspomnieniem zasługi młodości. Na czémże wam zbywa? Prawa i rządność zapewniły wam dostatek, a Pan Bóg pobłogosławił wam śliczną córką, która musi być pociechą waszej starości.

— Zapewne, Mości Panie, odpowiedział starzec i rozweselenie osiadło na twarzy jego. Bogu najwyższemu niechaj będą dzięki za to ukochane dziecko; z niegoćto cała pociecha starości nas obojga. Dziękuję panu starościcowi za pochwałę jej urody, ale ja wiem, że to prawda Mości Panie, wszysey mi to powtarzają, ona sama tylko niechce się przyznać do tego i rumieni się za każdym razem, gdy ją kto pochwali. Teraz nam źle bez niej, bo trzeba Wam wiedzieć, moi Panowie, że oddałem moją Anielę do Pani Chorążyny. To bogobojna i stateczna Pani, a dwór jej z dobranych niewiast złożony.

— Do Pani Chorążyny? zapytał Wacław, do

matki Pani Podstoliny Porzyckiej? matka wprawdzie sędziwa dama, ale jej córka jest młoda, wesola wdówka, lubiąca zabawy; w tym domu wiele bywa gości.

— Bez wątpienia, odpowiedział Dulski, ale ja polegam, Mości Panie, na skromności mojej Anielki i na troskliwości Pani Chorążyny. Ta dobra pani dawno mnie zaszczyca swoją znajomością; szczególne ma łaski dla mojej córki; nieboszczyk Jej mąż, toto był stronnik zagorzały króla Stanisława, i ona sama także. Ile razy u niej jestem, to się o dawnych czasach nagadać nie możemy.

Gdy tak mówił, zaskrzypiały drzwi, wszyscy ku nim oczy zwrócili i spostrzegli wchodzącą Anielę. Szła ona wolno, bo schorzała matka wspierała się na lewém jej ramieniu, troskliwie zwracała na nią oczy, jak gdyby każdym jej krokiem kierować chciała, lecz długie rzęsa kryły przed patrzącymi wdzięk spojrzenia, skromnej słodyczy pełnego. Zdawało się, iż prócz matki nikogo więcej nie widzi, lecz lekki rumieniec, który ubarwił świeże lica, okazywał, iż ją bytność gości zajmowała. Słabym głosem powitała gospodyni domu Faustynka i Wacława, o którego się nazwisko poprzednio męża spytała, zajęła miejsce na ławie przy piecu, za troskliwą córki pomocą, która czuła powiększające się w niej pomieszanie, skoro posadziwszy matkę nie miała już przedmiotu, którymby się wyłącznie zajmować mogła; zwłaszcza gdy wzniosła oczy do góry, i prowa-

dząc je po obecnych, śledzące wejrzenie Wacława spotkała. Faustynek przestępował z nogi na nogę i myślał o tém, jakbyto naprzód postąpić, jak się zbliżyć do Anieli i po dawniejszój znajomości słów kilka z nią pomówić. Lecz matka przyszła nie chcąc na pomoc pomieszanu tych trzech młodych osób, zalecając córce, aby się koło przygotowania do wieczery krzątała.

Zatrudnienie się jakim bądź przedmiotem jest wielką pomocą wtedy, gdy nie wiemy, co z sobą począć i jak nasze pomieszanie ukryć mamy. Dlatego znikła zwolna nieśmiałość poruszeń i wejrzenia Anieli, gdy przygotowanie do wieczery czyniła. Faustynek ośmielił się do tego stopnia, iż wyszedł z swego kąta, a zbliżywszy się do szafy, z której Aniela talerze i szkła dobywała, stłumionym głosem prowadził rozmowę, na którą ona głośno i z nieco złośliwym uśmiechem odpowiadała. Sam tylko Wacław milczał, i siedząc przy starym Dulskim zdawał się słuchać uważnie jego powieści, gdy zazdrosne wejrzenie jego z niechęcią padało na Faustynka, a raczej na tę, z którą miał szczęście rozmawiać; a myśl żywa bujała w rozległej przestrzeni przyszłości.

Tak zeszedł cały wieczór. Wacław nie miał i razu sposobności zbliżenia się do Anieli i mówienia z nią, gdyż wrodzona nieśmiałość jego każdy krok i każdy wyraz wstrzymywała. Za to zaś mówił z nią ciągle Faustynek, i to tym więcej, im bardziej się rozgadał; lecz to właśnie było przyczyną niechęci pana jego, który nie



chciał z nim gadać, gdy się obadwa do spichlerza na spoczynek udali i nakazał mu nawet milczenie, kiedy się zbyt długo nad powodzeniem zalotów swoich do Anieli rozwodził.

Nazajutrz było już słońce wysoko na niebie, nim się nasi podróżni obudzili. Stary Dulski nie mogąc się doczekać ich obudzenia poszedł w pole do roboty, a oni udali się do niego, aby się z nim pożegnać, lecz nim przyszło do tego, zbliżyło się południe a z niém obiad, a to wszystko dla tego, że obadwaj pragnęli widzieć jeszcze Anielę, której długo na próżno upatrywali, i której bytność przy obiedzie nad spodziewanie ich pochód w dalszą podróż opóźniła.

Na pierwszy dzień...  
wiosną i...  
peł się...  
wzrost...  
ciężko...  
ruch...  
wysoko...  
donna...  
czar...  
K...  
ogran...  
to...  
p...  
w...  
no...  
ciem...

## ROZDZIAŁ IV.

### *Rodzice.*

Na piaszczystej płaszczyźnie, gdzieniegdzie wrzosami i niskimi zaroślami pokrytej, rozciągał się nie wielki promień uprawnej ziemi, ze wszech stron dzikimi pastwiskami lub bagnami otoczony, kilka chylących się budynków, z których jeden tylko mieszkalny, a nadewszystko wysoka brama z furtką, którąby wszystkie zabudowania w całości można było wyprowadzić, oznaczały fortunę szlackecką Dodoszami zwaną. Z miejsca tego był widok na całą okolicę równie ograniczony, jak majątek i rozum właścicieli. Bo lasy zaczynały się tam, gdzie się odłogi i bagna kończyły, tak dalece, że oko blaskiem wschodzącego i zachodzącego słońca nigdy rażone nie było, i zawsze na jednostajnym widoku ciemnych sosien przestawać musiało, gdy tylko

dalej jak dziedziniec i bliższe błonia sięgnąć chciało. Podobnie i mienie właścicieli wystarczało zwykle na wyżywienie domowników od jednych żniw do drugich, dostarczało im zasiłków na jaką taką odzież, ale więcej niczego się po nim spodziewać nie należało.

Co do rozumu właścicieli, ten się nie unosił wysoko, ani się zapuszczał głęboko, lecz ograniczał się pojęciem wyobrażeń codziennego życia, i pamiętaniem prerogatyw szlachectwa, tego drogiego klejnotu, przy którym nie żał było głodzić się i biędzić, byleby go czémkolwiek nie skalać.

Lecz nie uprzedzajmyż czytelnika o właścicielach fortuny, z którąśmy go jeszcze dobrze nie obznajomili.

Na najniższem miejscu doliny nad błotkiem, trzcina, tatarakiem i sitowiem zarosłem, stał dom drewniany, którego ściany dawno już z prostopadłej linii wyboczyły, przez rozmaite wygięcia swoje malowniczą postać przybrały. Z przycieś zostały już tylko rdzenne sęki, a wysokie obsypanie domu ziemią wokoło zastępowało niedostatek spróchniałego drzewa. Przed domem była wystawka o jednym już tylko słupie, zachowana dla tego, że za sérnik służyła, a próg od drzwi wchodowych dawno wygniły zastępował kawał nieobciosanej brzeziny między odrzwi wbity; dwa okna dawały dosyć światła w mieszkaniu, póki niedostatkowi szyb gąty gliną oblepione nie zaradziły; były nawet kiedyś proste i równoległe z dachem i z przyciesiami, ale za



upadkiem tych ostatnich musiały się ku nim nachylić.

Po prawej stronie wszelakoż, jako w mieszkalnej izbie państwa, były trzy całe z pomiędzy sześciu szyb, jedna spękana i patyczkami w miejscu utrzymana, a dwie zalepione papierem, za uproszeniem na dworze pana starosty otrzymanym. Dach od mchu zielony był wklęsły według kierunku chylących się ścian, a ustawiona przy lepionym kominie drabina, lubo już tylko o kilku szczeblach, musiała wszelakoż służyć jeszcze do przeznaczenia swego, aby lepiej całej budowie odpowiadała. Po prawej stronie domu stała stodoła z plecionemi z chrustu ścianami, obórka, stajenka i chlewiki pod ścianą ledwo że widzialne przed szaniami z mierzwy, któremi otoczone były. Podwórze miało, jak już wiadomo, wielką wjazdnią bramę z furtką, której tylko wrót i drzwi brakowało, i otoczone było niegdyś parkanem, z którego dziś tylko same słupy pozostały. Prócz wierzby na pół z kory obłupionej przy bramie, i dzikiiej gruszki za dworem nad błotkiem, nie było żadnych drzew koło domu, i właściciel zwykł mawiać, iż drzew jest aż nadto w lesie, a o cień w upały nietrudno, bo zawsze jedna strona domu koniecznie w cieniu być musi.

Już się słońce chyliło ku zachodowi, gdy Pan Dodosiński, właściciel dopiero opisaniej włości, wjechał na podwórze z furą żyta z pola zwożonego, i zrzuciwszy je wraz z parobkiem do

stodoły, przyszedł znużony spocząć na kamieniu przed domem i zawołał głośno:

— Basiu, wynieś mi tam podwieczorek! séra, chleba i dzban piwa, bom się spracował.

— Widzisz go, odpowiedziano z domu, spracował się i jeść woła! Raz ci się zdarzyło wziąć się do roboty, i już się chwalisz, jak gdyby to tak zawsze było.

— Ja się nie chwale, tylko wołam jeść i pić, bom głodny i spragniony.

— A dażesz mi na sér, na chléb i na piwo, których się dopominasz? rzekła wynosząc kawał czarnego chleba, pół krajanka zeschłego séra i trochę piwa z daleka kwasem trącającego pani domu, dla tego tylko zdrobniałem imieniem Basi zwana, że mężulo chciał przez to zjednać sobie jój łaski i tém pewniej upragniony zasilek otrzymać.

— Teraz przednówek, dodała podając mu wszystko, a jaki jeszcze trudny do tego; gdybym ja nie pamiętała o wszystkiém, tobyśmy podobno dawno już byli z torbami poszli. Zebyś ty się téż kiedy czém szczerze zajął; spojrzij wkoło siebie, wszystko się wali, nigdzie nie masz ogrodu, poszycie dziurawe, a rola uprawiona, Boże zmiłuj!

— E co mi tam; niech się dzieje, co chce, mnie przecież chleba nie brakuje, bo mam łaskę u panów.

— Ale pamiętaj na to, że masz syna, a jaką on sobie da radę, jeżeli dziedzictwo swoje tak spustoszałe odbierze?

— Faustynkowi bięda nie dokuczy, o niego się nie troszczę, bo mi cyganka powiedziała, że będzie zawsze szczęśliwym, i dlatego nazwałem go Faustynem Felixem. Ale ty tego nie rozumiesz, a ja, który doszedłem dawniej aż do grammatyki, wiem dobrze, co to znaczy Felix i Faustus, i dlatego, powtarzam, nie troszczę się bynajmniej o niego.

— Ale ja się troszczę, i bardzo o naszego syna, bo już wyrosł chłop jak dąb, a jeszcze nie umie zarobić na kawalek chleba, i nie wiem, czego siedzi w tój szkole, gdzie się nawet niczego nie uczy.

— Wiem ja, czego on tam siedzi, czy się uczy, czy nie, to wszystko jedno, będzie on panem, mówię i kwita.

— Boże! jak ci tóż w głowie świta; lepiejbys był oto zrobił, gdybys go był oddał w termin do jakiego rzemieślnika.

Na te słowa zerwał się Pan Dodosiński z miejsca, zachłysnął się piwem, które po suchym chlebie popijał, odkaszlnął kilka razy, i widać było, że się gniwał, choć jeszcze nie mógł nic wymówić; nakoniec przecież ozwał się groźnym głosem: Co Wasani mówisz, Pani Dodosińska? Czyśto zapomniała, żeś moja żoną i matką Faustynka? Czy nie wiesz o tēm, że ja szlachcic i mój syn także?

— I cóż z tego? i cóż z tego? powtórzyła w gniewnym tonie Pani Dodosińska. Goły szlachcic gorszy od bogatego żyda.



Szybkość, z jaką te słowa wyrzeczone były, i wyraz nieukontentowania na twarzy małżonki umotygował uniesienie Pana Dodosińskiego, tak iż usiadł napowrót, gryzwał w chleb, założył nogę na nogę i obojętnie rzekł: Być może, być może; ale ja przy mojem stać będę i choćbym miał zebrać, to się nigdy nie chwycę żadnego rzemiosła, któreby szlachcica spodlić mogło, a zasadziwszy z całej siły zęby w nader twardą krajanekę dodał, gdy zdołał kawałek jój ukruszyć — i nie pozwolę nigdy na to, ażeby syn mój miał kiedy dratwy kręcić, lub skóry skrobać.

— A to weź go wcześniej do domu, aby się przynajmniej gospodarstwa nauczył, i ażeby nawykł do roboty, bo potem nie będzie umiał zarobić na kawałek chleba.

— Zapewne, żeby się wychowywał za piecem, a potem nie wiedział, jak się znaleźć między ludźmi!

— A czegoż on się w szkole nauczy?

— Czego? odpowiedział Pan Dodosiński, kiwając nogą na drugiej nodze założoną, i pogładając z szydzącym uśmiechem na żonę: Wy kobiety tego nie rozumiecie i rozumieć nie możecie.

— I, mój ty mądry człowieku, ja myślę, że ty sam nie wiesz, czego chcesz! bo wszakże już rok blisko dochodzi, jak Faustynek przestał się uczyć i tylko jest jakimś kalafaktorem, a taki pono w piecu pali i kańczugiem bije.

— A tak, rzekł z miną decydującą P. Dodosiński i popił kwaśnego piwa.

— No i cóż mu z tego przyjdzie? najwięcej, że się nauczy służby hajduka lub podstarościęgo, ale takięj, gdy jeden i drugi z batem mają do czynienia.

— E co tam, tego wy kobiety pojać nie możecie i kwita.

-- Ale przecież godziłoby się, ażebyś mnie, jako matce, raz przynajmiej objawił twoje widoki względem naszego syna, i ja cheę, abys mi zaraz powiedział, na co mu się terazniejszy jego stan przyda?

Ton mowy i temperatura twarzy Pani Dosińskiej zbyt wyraźnie okazywały zbliżającą się burzę, ażeby mężulo nie miał użyć wszelkich środków wczesnego jęj odwrócenia; dlatego rzekł łagodnie: Oto widzisz, rybko, na to go zrobiłem kalafaktorem w retoryce... widzisz: retoryka, oto już zaraz rzecz, której nie rozumiesz, i nie wiem, jak ci ją mam wytłumaczyć... oto wystaw sobie izbę, cztery razy tak wielką, jak nasza cze-ladnica, ale sklepioną, z dużemi oknami, bo ja byłem raz w retoryce, jakem zanosił ostatni raz buty Faustynkowi; było to w sam wieczór, kiedy się wszyscy porozchodzili. Otóż to retoryka.

— I, co mi do twojęj retoryki, mów ty mi o synie, po co on tam siedzi?

— Po co siedzi? Oto po to, aby zabrał znajomość z paniczami, którzy się tam uczą, i których tam dużo, bo są wojewodzice, kasztelanie, podkomorzyce, starościce.

— No wiem, już wiem wszystkie nice, jakie tylko są. Ale jakże on z nimi znajomość ma zabrać? Czy oni się też właśnie z nim wdają?

— Jak? a on tyle razy ma z nimi do czynienia, że muszą się z nim poznać koniecznie.

— Ale z jakiejże strony zabięra z nimi znajomość, toć on tylko ma do czynienia...

— Otoż to, to, co najlepsze, bo panice bojąc się jego ręki, starają się o przyjaźń, ujmują go sobie to butami staremi, to kontusikiem wytartym, to żupanikiem starym, to pasiną jeszcze jakątąką, a chłopiec co się przyodzięwa, to się przyodzięwa i wchodzi w respekt u paniczów.

— A dalej co będzie? przecież całe życie nie będzie w piecu palił i....

— Nie, nie, broń Boże! przerwał Pan Dodosiński, potem... potem zrobię go dworzaninem.

— Radabym wiedzieć u kogo?

— U pana starosty! Alboż to zły dom, he?

— Odkądżeto starosta zlecił tobie dobięrać mu dworzan? A czyżes go nie prosił już raz za Faustynkiem? cóż ci wtenczas powiedział? Ze zbyt wielki gap, wszak prawda?

— No i cóż? bo zwyczajnie wtenczas nie był jeszcze dosyć obtarty między ludźmi i ja w złyj chwili prosiłem P. starosty, było to przed obiadem, był jeszcze trzeźwiuteńki wtenczas. Ale jak teraz Faustynka odbiorę do domu, to sobie upatrzę dogodną porę, upadnę do nóg starościę, przyprowadzę mu syna mego i powiem.



Oto jest mój jedynak, Jaśnie Wielmożny Panie! wyrosł on duży, jest zdrów i silny, będzie wierny i przywiązany do swego pana i rączęm....

— A ja też słucham twoich andronów — prze-  
rwała Pani Dodosińska, budząc się poniekąd z  
zamyslenia i spuszczaając ręce, które była założyła  
przysłuchując się mężowi, ruszyła się z miejsca  
i wracając do domu dodała: Stoję nad tobą,  
jakbym nie miała co lepszego do roboty... idź,  
idź, nie bająłbyś próżno, bo ci się nawet i  
nie klei.

Lecz zajęty szczęściem swego jedynaka oj-  
ciec nie ruszył się z miejsca, siedział i marzył  
o przyszłym losie Faustynka i tak długo, że zmor-  
dowane władze jego umysłowe nie zdołały wy-  
trwać przy niezwykłej czynności, i uległy nako-  
niec przemocy snu, który przedłużył marzenia na  
jawie miane.

## R O Z D Z I A Ł V.

### *Więzień.*

Słońce już było wysoko nad naszym padolem płaczu, oduczone muchy od dawna męczyły Dodosińskiego dosypiającego zwykłej miary gnusności, tak iż na pół obudzony postanowił wstać z posłania, i tylko jeszcze zwykłą walkę między chęcią leżenia a potrzebą wstania odbywał; gdy przeraźliwy krzyk na podwórzu do przyspieszenia chwili rozstania się z łóżem przymusił. Skrzętna małżonka była bowiem od świętu na polu u żniwa, i nikt prócz samego pana w domu nie pozostał, tak dalece iż koniecznie trzeba było wybiédz na pomoc wołającemu.

Gdy tedy jakkolwiek odziany boso wypadł przed sień, spostrzegł żyda i psa podwórzowego, niewzruszonych obok siebie stojących. Żyd szedł spieszno do Dodosińskiego i zatopiony w rach-

bach zapomniał o znanym sobie kondlu, którego spotkania zwykle jak najusilniej unikał, aż niejaki stós wysoki drzewa niespodzianie natrafił, i wszedł poniekąd na niego, i obudził go ze snu, w którym równie jak pan jego na barłogu był zdjęty.

Pies przeląkł się z razu, porwał z barłogu, lecz w miejscu, i spojrział obojętnie na żyda, bo mu się jeszcze szczekać nie chciało; żyd stał także, bo nie śmiał uciekać, lecz twarz odwracał od kondla, aby przynajmniej nie patrzeć na grożące niebezpieczeństwo. Krzyknął z razu przeraźliwie, ale gdy kondel podniósł ogon do góry, zamilkł, odwrócił się od niego i oglądając się na wszystkie strony mówił przytłumionym głosem: „No weźcie tego psa, weźcie tego psa.“ Dodosiński wyszedł przed sień, gdy się żyd zwolna oglądał na Obala, czy jeszcze przy nim stoi, a spostrzegłszy go jak się przeciągał obojętnie i ziewał nawet, odwrócił się szybko, bo go widok dwóch rzędów ostrych zębów niezmiernie przeraził. No, weź Waspan tego psa! rzekł nieco głośniej, gdy Dodosińskiego obaczył i czekał wybawienia siebie z przykrego położenia. Pan domu gwizdnął, pies radując się pobiął ku niemu, a gdy żyd uspokojony szedł ku domowi, odwrócił się ku niemu i szczekał parę razy, aby przekonać pana, że ma chęć wykonania swego obowiązku. No, co też Wacpanu po takim dużym brzydkim psie? a gdyby on też ukąsił? Wołaj go Waspan; czego on chce odemnie?



— Nie bójcie się Wolku, odpowiedział Dodosiński odpędzając psa i zagroził mu kijem, tak iż Obal z mrukiem wrócił na zwyczajne legowisko. Pan domu zaś rzekł dalej: Czegóżto chcecie tak rano? gdzieżto idziecie?

— Czego chcę? gdzie idę? A czegoż mam chcieć, jeżeli nie swojego? a dokądże mam iść, jeżeli nie do Wacpana?

— Już znowu. A co za przekłety żyd! Zapewne będziesz się upominał tego, coś dubeltową krédą na ścianie napisał?... Obal, na tu!

— Nie! daj Wacpan pokój, Panie Wojciechu; czego to żartować znowu! Onby mógł doprawdy mnie okaléczyć. Przecież człowiek musi za swoim chodzić; mnie nikt nic nie daruje; ja pański skarb utrzymuję; ja muszę panu arendę płacić; a przecież Wcpan nie będziesz chciał mojej krzywdy.

— A ktoby tam chciał twojej krzywdy? Ja ci zapłacę wszystko co do szeląga, tylko czekaj i nie naprzykrzaj się... jak się zasieje, to się i wymłóci, i sprzeda w mieście.

— Toć się sprzeda, i nieraz się już sprzedawało, a Wolek z tego nic nie będzie miał. Albośto Wcpan nie sprzedał przed tygodniem dwóch wieprzaków? a cóż mi z tego przyszło!

— To nie ja, to moja żona, a ona za mnie nie płaci; i jak jój słowo piśniesz o tém, wielem ci winien, to zobaczysz, co ja ci zrobię.

— Ktoby tam zaś! Toć Wcpan wiesz przecież, że ja nic nie gadam przed nikim; bo czego

to ludzie mają wszystko wiedzieć. Ale nie wiem, czy można przy niej mówić o Faustynku, bo oto właśnie idzie?

— Co o Faustynku? Cóż ty wiesz o nim?

— Zwyczajnie nie, rzekł żyd stłumionym głosem i powitał Panią Dodosińską, która bardzo złém okiem na niego spojrzała, i zapytała go, pocoby był przyszedł.

— Po staremu, odpowiedział, przyszedłem zwyczajnie do Jegomości dowiedzieć się, co tam słyhać u niego? jak będzie plonowało?

— Wypatrzyć, cobys mógł zagrabić za jego długi, rzekła z niechęcią Pani Dodosińska, wydrwić na nim jaki korcezyk zboża, albo ostatnie bydłę z obory. Nic z tego nie będzie, bratku. Poco mu na borg dajecie; niech pije kiedy ma za co, ja mu nie dam.

— Ale co ei się znowu zdaje, rybko! On ani myślał o tém; on przyszedł z jakąś nowiną od Faustynka.

— Od Faustynka? zawołała z wyrazem ucieszenia matka. Cóż nam dobrego o nim powiecie, mój Wolku? Czyście byli u niego w Łowiczu? Cóż on tam?

— A pocóżbym ja tam chodził? Tak go zwyczajnie widziałem przypadkiem.

— A to gdzie? zapytała matka.

— W spichrzu Pana starosty.

— Co to jest w spichrzu Pana starosty? zawołał posuwając się z gniewem ku żydowi ojciec

Coby on miał robić w spichrzu? chyba ci się zdawało, albo przysniło.

— No, kiedy mi się zdawało, to niech tak będzie. A co mnie to szkodzi? Niech sobie siedzi, kiedy się Wcpan gniewasz, Panie Wojciechu! Co mnie to szkodzi? Niech sobie siedzi.

— Ale mój Wołku, czekajcie! rzekła strokana matka, przecież nie odchódźcie tak; toć powiedzcie, co się z nim dzieje, bo mnie strach bierze do prawdy.

— Poco Was ma brać strach? Co mu się stanie?

— Ale przecież gadaj jak człowiek rozumny, rzekł ojciec; powiedz, coś widział? coś słyszał? bo ja dotąd jak w rogu.

— Oto tak, widzisz Waćpan, Panie Wojciechu. Byłem u dworu po wódkę i jechałem sobie na szkapie zwyczajnie, baryłka przedemną na karku konia oparta, i przejeżdżałem koło spichrza, coto nade drogą stoi. W tём jak coś krzyknie: Wołek! tak ja ledwom nie spadł z konia, który się zląkł i w bok skoczył, i ledwom baryłkę utrzymał przed sobą i pomyślałem sobie: Bodajes przepadł ty jakiś, coś mnie nastraszył, bodajes!

— A to może był Faustynek, przerwała, matka. Wyście go przeklinali, Wołku!

— A toć on był, nie kto inny. Ale go dopiero poznał, gdym się do okienka zbliżył. Ale com jato miał termedyi i strachu, nim to nastąpiło, bo szkapa nie chciała ruszyć z miej-



sca, baryłka mi wypadła, szczęście że w piasek, boby była pękła. Musiałem szkapę uwiązać u płota i dopiero....

— I, co nam tam do tego, coście robili. Powiedźcie tylko, co Faustynek robił w spichrzu?

— Wyglądał okienkiem, które było zamale, coby niem mógł głowę wykazać; a ja mu tylko oczy i nos widziałem, i on mi powiedział, abym wam powiedział, że on tam siedzi.

— Ale cóż on robił w spichrzu? jak tam wlaźł? zapytała matka.

— Ja myślę, że drzwiami musiał wleźć, boby się oknem nie zmieścił.

— I wy się tylko śmiejecie z naszej biedy, Wołku, rzekł ojeiec odchodząc do dworu. Trzebać mito spieszyć co tchu, aby się dowiedzieć, co to się znaczy.

— Otoż to tak! rzekła matka z płaczem. Nie mówiłam ja ci zawsze, że się to na jakiej biędzie skończy? Potrzebnieś go trzymał w tym Łowiczu? Chłopak się zhisurmanił, musiał co zbroić i pan starosta go kazał osadzić. Otoż to tak go promowujesz na dworzanina! Gdybyś go był w domu trzymał, toby się to wszystko nie było stało.

Tak mówiła P. Dodosińska, nie zważając nawet, iż jój mąż nie słyszy. On zaś tymczasem ubrał się w niedzielny kontusz, przypasał szabelkę, wziął kij do ręki i nacisnąwszy czapki na uszy, aby napomnień żony nie słyszał, wy-

szedł za wrota z Wołkiem, który z tamtą w inną stronę drogę swoją obrócił.

W głębokiem zamyśleniu postępował stroskany ojciec ścieżką, którą sam przez pole i łąkę udeptał, minął las i wyszedł na drogę, w której ostatnim załamku widać było wieżę kościoła, i bielące się dwa kominy na drewnianym dworze Pana starosty.

Rozmaite bardzo uczucia miały sercem stroskanego: to gniew na występnego może syna, to litość nad niewinnie cierpiącym. Raz się zajmował odgadnieniem tajemnicy i wymyśleniem środków oswobodzenia jedynaka, drugi raz ubolewał nad zniszczeniem najmilszej nadziei swojej.

Wszystkie te wzruszenia przyspieszały kroki jego, im mocniej go myśl jaka zajmowała, tym prędzej szedł naprzód, tak dalece, iż zdyszony i zmęczony stanął w miejscu, do którego zmięrał.

Nade drogą naprzeciw dworu stały zabudowania dworskie, spichlerz tyłem a dwie stodoły węglami do drogi obrócone. Przy rogu pierwszej od pola stodoły zatrzymał się dopiero nasz Dodosiński; ociężając pot z czoła, starał się zebrać myśli względem tego, jak ma powitać swego jedynaka, czy z wyrazem złości, czy téż z pobłażającą dobrocią? Lecz gdy parę kroków naprzód postąpił, usłyszał stłumionym głosem wyraz *Faustynku* dwa razy powtórzony, który całą surowość jego rozbroił. W ciasnem w ścianie drewnianej wyrzniętém okienku mieściła się połowa

tylko tłustej Faustynka twarzy, tak iż ojciec nie mógł rozeznaczyć, jakie się na niej uczucie maluje.

— A ty tu co robisz? zawołał. Za cóż cię też osadzili?

— Albo ja wiem? odpowiedział spokojnie Faustynek. Pan starosta kazał, i oto jestem.

— Ale z kąd się tu wzięłeś? pociągnął z wysze-  
dles ze szkoły?

— Albo ja wiem pociągnął? Pan staroście poszedł sobie, a ja za nim. Przysłiśmy oba tutaj, a Pan starosta kazał nas osadzić obydwóch: jego gdzieś tam we dworze, a mnie tutaj we spichrzu.

— Toście wy sobie tak wyszli oba z Łowicza ni z tego ni z owego, na hulankę zapewne... i tyś paniczowi drogę do złego pokazał. He, czekajno! dam ja ci, jeno się do ciebie dostanę.

— Ej, co tam Tatynku gadacie! Nam się też właśnie śniło o hulance albo zabawie, kiedy był strach i duży do tego; myśmy zmykali co tchu, aby nas nie złapali.

— Więceście coś zbroili? A ja nieszczęśliwy, cóżto z ciebie będzie!

— Cożeśmy mieli zbroić? Co tam panicz zrobił, to zrobił, ale ja wiem, że zupełnie niewinny. Słuchajcie tylko Tatynku, a sami powiecie, żebyście byli to samo zrobili, co ja uczyniłem.

— Studenci pobili się onegdajszego dnia po południu. I cóż w tém dziwnego, wszak to nie



piérwszy raz? Ale się dobrze bili w izbie, bo ja na klucz drzwi zamknąłem, ażeby im nikt nie przeszkodził, tak że aż *Pater* drzwi musiał kazać wybić.

— I ty mówisz, żeś niewinny? *Ladaco!*

— A cóż ja miałem robić, kiedy mnie panicz kazał ani jednego studenta do szkoły nie puścić, ja téż pomyślałem sobie: Co ja się mam kłócić z nim, jak będzie chciał wejść koniecznie? Dlatego wolałem zamknąć drzwi, wziąć klucz do kieszeni i pójść sobie na piwo, póki godzina nie wybije. Ale kiedy wróciłem, to już drzwi zastałem otwarte.

— Zapewne ci za ten figiel chcieli dać baty, a tyś uciekł?

— Ej gdzie tam. Nikt o niczem nie wiedział. Chcieli owszem, ażebym ja dał plagi temu, którego tam za najwinniejszego mieli; ale ja nie chciałem i uciekłem z izby.

— A ty hultaju! A zacóż ci to płacą? zacóż cię żywią, odziewają i ciepło w zimie trzymają? Nie mówiłem ja ci tyle razy, żeś powinien wiernie służyć temu, co ci płaci?

— A toć ja téż to zrobiłem. Bo mi Pan staroście dał niedawno stary żupanik. Jakże ja go miałem bić za to?

— To więc Pan *Wacław* najwięcej zbroił, i ty jego bić nie chciałeś? Nie ma co mówić, dobrześ zrobił. Ale znać, że lepiej było dać plagi nakazane, kiedy oto siedzisz za to, coś go od nich obronił.

— Siedzę, i cóż z tego? Albo nas to Pan starosta wysłuchał? Ja więcej zrobiłem dla Pana Waclawa, bo nie tylko, że go nie bił, alem go jeszcze z karceresu wybawił.

— A pocóżes się do tego jeszcze mieszał? Czy nie dość było jedno głupstwo zrobić?

— Ale co ja temu winien? Oto tak było: Jakem uciekł z izby, ażeby nie bić panicza naszego, nie wiedziałem gdzie się podziać ze strachu, i gdym upatrywał jaki kąć dogodny, przypomniało mi się, że mam przy sobie klucz od karceresu. Wszedłem więc do tego ciemnego lochu, i wyjąłem klucz dla tego, abym mógł widzieć przez dziurkę, co się na kurytarzu dzieje. Wtém gdy w najlepsze patrzę, zbliża się *Pater* i kalafaktor z Gramatyki, który miał drugi klucz od karceresu. Otwiera drzwi; ja umykam w kąć; wpychają do karceresu kogós i drzwi za nim zamykają. Nowy mój sąsiad nie spostrzegł mnie z razu. Alem kichnął, a on krzyknął i obaśmy się razem poznali: on, że to ja, a ja, że to on.

— No i któż to był?

— A któżci? Pan Waclaw.

— A pocóżes go wypuścić?

— Ja go nie wypuszczałem, ale przecież musiałem sam wyjść, bo trzeba było wrócić do izby, poustawiać powywracane ławki; a potem pójść chciałem do Patra, przeprosić go za to, że go panicza bić nie mógł. Więc otworzyłem

sobie karceres i wyszedłem, a Pan Waclaw za mną.

— Nie trzeba go było puszczać!

— Ale, kiedy nie chciał zostać. I prócz tego chmara studentów szturmowała już do drzwi, chcąc go uwolnić. To lepiej, żem otworzył, bo-by byli drzwi popsuli.

— No dobrze, 'ale pocóż było uciekać ze szkoły i z miasta?

— Albo ja wiem. Jakem tylko wylazł z ciemnej dziury z Panem starościcem, porwali mnie i jego inni studenci, wzięli nas na ręce i wynieśli przed sień. Potém krzyczeli: Vivat Faustynek! Vivat Faustynek! i posadziwszy nas na ziemi poszli z nami prosto przez rynek na most i za most, z wielkim krzykiem i hałasem. A gdyśmy już byli na prostej drodze do domu, uściskali nas, pożegnali i co tchu naprzód iść kazali. Ja téż poszedłem, ale sam nie wiedziałem poco i zaco, alem się nie mógł wracać, bo mi Pan staroście powiedział: żeby mnie naprzód sami studenci a potém professorowie wybili; że się już nie mam poco wracać; że będzie o mnie pamiętał. Jać goto nie chciałem słuchać z razu, ale jak mi powiedział, że nie wie drogi do domu, toć ci go musiałem odprowadzić; a potém miałem się wrócić.

— A ja nieszczęśliwy! Twoje głupstwo zepsuło całe szczęście nasze! Teraz jeszcze i Pan starosta zagniewany.

— A zacoż on się gniéwa? Za to może żem



mu syna od plag i karceresu ocalił? Idźcie, idźcie Tatynku! Wy też nie chcecie być wyrozumiałym; wybyście powinni mu powiedzieć, że ja na to nie zasłużyłem.

Na te słowa powstała myśl szczęśliwa w umyśle stroskanego ojca, a ufając w własną układność i wymowę udał się do dworu, przebłagać starostę i upomnieć się krzywdy Faustynka.

## ROZDZIAŁ VI.

### *Niespodziewana łaska.*

Pan starosta, ojciec owego Waclawa, któregośmy w pierwszym już rozdziale poznali, był człowiekiem znamienitego rodu, i bardzo majątnym kiedyś. Nie wyjawimy tutaj jego nazwiska; bo gdy całe życie swoje tylko dla siebie przepędził, i żadnej po sobie nie zostawił pamiątki; mniejsza o to, że potomność nie będzie znać tego, który tak mało dbał o nią.

Używać świata w sposób, w jaki w owym czasie go używano, było jedynym celem jego życia. Póki gospodarna małżonka wodze domowego rządu utrzymywała, póty wystarczały znaczne dochody własnych dóbr i starostwa na gościnne życie jego. Lecz gdy ze śmiercią troskliwej matki Waclawa zniknął wszelki rząd domu, gdy starosta ani się miał kim zastąpić, ani kogo

obawiać, szły w zastaw wioski jedne za drugimi, i pożycie w domu jego tym było świetniejsze, im się wszystko więcej do upadku zbliżało.

Wierna drużyna przyjaciół i domowników gościła nieodstępnie w jego domu: niektórzy, tak zwani chudeusze, ciągle w nim przebywali, a liczne towarzystwo sąsiadów, krewnych i przyjaciół kolejno do niego uczęszczało. Czas schodził na łowach, biesiadach i niekiedy dla odpoczynku na grze w karty. Nadworna kapela grała panu i gościom na *dobry dzień*, grała wiwaty przy obiedzie, grała w każdym razie, gdy zagrzane winem głowy ciąglego potrzebowały chałasu, aby nie dostrzedz zamieszania, jakie w nich panowało; albo, gdy przy chłodzie wieczornym skromny tylko kieliszek obchodził, aby rosa nie szkodziła gościom, lubiącym przysłuchiwać się klarynetom, których odgłos po okolicy się rozbiegał. W tém ciągłym odurzeniu zmysłów, nie miał starosta czasu zastanowić się nad losem własnym i syna swojego. Pomykał on szybko ku smutnym chwilom życia, nie bacząc na to, co go na dal czeka, jak ów nieroztropny chłopiec, na płytkiej łyżwie rozpędzony, pędzi naprzód po śliskiej i łyszczącej się powierzchni, a nie widzi o podal przerębli, która go pochłonać może.

Starosta spał jeszcze po dłuższém, jak zwykle, biesiadowaniu późno w noc. Lecz pewien oddział gości, który do honorarium nie należał, już był obudzony. W szczęśliwém próżno-



waniu oczekiwał chwili rozpoczęcia zwykłych zabaw, i obmyślał środki bawienia i rozweselenia Pana. W wielkiej sali po prawej ręce obszernego dworu leżącej, a zwykle do uczt przeznaczonęj, czego czerwonym suknem pobite ławki dla muzyki w jednym jej rogu stojące dowodziły, było kilkanaście posłań ze słomy, pokotem jedno po drugim, kobiercami po większej części pokryte, a kilka tylko pościelą opatrzonych. Goszczący rozciągali się jeszcze po nich: jedni przygnębieni trudem wiatowym dosypiali potrzebnej miary do zupełnego wytrzeźwienia, i głośnym chrapaniem wdawali się poniekąd do toczącej się między innymi rozmowy; drudzy już obudzeni nie przemawiali jeszcze i słowa, bo pewne ociążenie i przykre nudności psuły im humor i wstręt do wszystkiego wzbudzały. Inni nakoniec wprawni i wytrzymali wszelkiego rodzaju szermierze byli już przy zupełnych zmysłach, ocuceni na ciele i umyśle, gotowi do nowych zapasów i tak zdrowi i silni, jak gdyby w ciągłej wstrzeźliwości życie pędzili. Z pomiędzy tych jeden już był na nogach i przegładał się w zupełnym kubie wody, aby wąsom ozdobną pokrętność nadać. Byłto niegdy namiestnik lekkich znaków, dziś nieproszony, lecz ciągły gość starosty. Postawa jego mogła zastraszyć nie jednego i oznajmiała wojaka, któremu tylko na sposobności dania dowodów męstwa zbywało. Bawił on leżących jeszcze opowiadaniem swoich czynów na wyprawie do Siczy przeciwko Hajdamakom, a silny głos jego

rozlegał się po izbie, i wtenczas się tylko nieco tłumił, gdy staranne muskanie i zakręcanie wąsów ust szeroko otwierając nie dozwolało. Drugi po nim wstał chudy, wysoki szlachcic, który niedługi czas na ubiéraniu strawił, palcami potargane włosy rozgarnął i potem je dłonią nad czołem przymuskał. Ten badał rycerza o wszelkie szczegóły opowiadanej wyprawy, przerywał mu niekiedy wykrzyknikiem nieoznaczającym, lub wyrazami: *No proszę!* a zważając niby najpilniej na powieść, własną jakąś sprawą wyłącznie był zajęty.

Był to subdelegat, pełnomocnik, doradzca, i totumfacki pewnej wdowy, co ją później poznamy, który nie bez przyczyny często w domu starosty gościł i niejedną potrzebną sobie wiadomości zręcznie zasięgał. Trzeci poszedł za przykładem kolegów, żwawy, niski i dość opiekle szlachcic, który sływał z dowcipu, grał na bandurze, i śpiewał własne piosnki, aby pana rozweselać i skarbić tę łaskę jego, która mu schronienie, odzież i wyżywienie zapewniała.

Inni najopieszalsi do wstania byli to po większej części młodzi panice w pierwszym polu biesiadnych wypraw, którzy nie mogli jeszcze wyrównać równie z drugimi, i dłuższego wczasu po trudach potrzebowali.

Między goszczącymi kręciło się kilku pacholków i dworskich, to przysposobianiem ubiorów dla panów swoich, to dostarczeniem dla panów polówki piwnej lub kieliszka wódki zajętych. Za

nimi weszło kilka psów legawych do izby, które napadnięte zostały od tych, co obok panów swoich noc przepędziły, a po odparciu tych napaści, lub gardząc słabszymi przeciwnikami zajęły miejsca na posłaniach dopiero co przez gości opuszczonych.

Między tych wszystkich wszedł nasz stroskany ojciec, Pan Wojciech Dodosiński, chcąc z nimi razem oczekiwać obudzenia się pańskiego.

— A witajże nam, witaj, miły hospodynie! krzyknął Srokosz, ów wirtuoz bandurkowy, o którym wyżej.

— A gdzieżeście to przebywali, Panie Bracie? rzekł namiestnik wezorajszej gratki. Była to bowiem jedna z lepszych.

— Bez wątpienia, bez wątpienia, dodał Subdelgat dmuchając przytém w garnuszek grzanego piwa, które zwolna popijał, po każdym kęsie chleba.

— Co mi tam do waszej gratki, odpowiedział smutnie Dodosiński. Załuję, że tu nie był, ale nie dla hulanki, tylko dla tego, iżbym był zapobiegł nieszczęściu mego jedynaka.

— A cóż mu się to stało? zapytał Srokosz. Otrzymał baszarunek? Nie wielki to frasunek.

— Widzisz go, co za trafniś! odpowiedział z niechęcią Dodosiński. Wam to łatwo przychodzi szydzić z obcej biedy. Mój syn od nikogo nie brał baszarunku, wiesz!

— Wiem. On nie bierze, tylko daje, odparł



żywo Srokosz i głośno się śmiać zaczął, aż się trząsł cały siedzący na ławie. Za cóż tak się tak srożycie? czego się gniewacie, Panie Wojciechu? Wolne żarty każdemu.

— Nie, to nie dobrze, przerwał Pan namiestnik, śmiać się z obcej biedy. Pan Wojciech ma zapewne jakiś smutek prawdziwy, i chce może zasięgnąć naszej rady.

— Bez wątpienia, bez wątpienia, dodał subdelegat. Cóż się to tedy stało godnemu synowi Waszmość Pana?

— A gdzieżeścieo byli wszyscy wczoraj, jak się to działo? zawołał z podziwieniem Dodosiński, zakładając ręce i odstąpiwszy w tył parę kroków.

Odpowiadając na to zbliżył się ku niemu Srokosz, uderzył go lekko w ramię i rzekł:

Gdzieśmv byli Panie Bracie,

Wy to wiecie, wy to znacie.

Kiedy ezłek nachyli dzbana,

Wązka izba, blizka ściana;

W głowie tak jak w pustym miechu,

Wy to znacie, mój Wojciechu.

Idź ty kieto z twojemi wierszulami, rzekł oddalając się od niego z niechęcią Dodosiński. Wierzę temu, żeś ty o świecie nie wiedział, kiedyś przebrał miary. Ale cóżto tu żaden z was nie pamięta tego, że tu wczoraj przybył pan staroście z moim synem?

— Co? zawołał jeden ze świeżo ocuczonych zrywając się na pościeli, co? Waclaw jest tutaj?

Powiedzcie prawdę. Kochany chłopiec! Chciałbym go uściskać czém prędkiej. Powiedzcie, czy był, czy jest?

— Tak, tak, odpowiedział na to głaszcząc się po twarzy i uśmiechając złośliwie Subdelegat. Był jakby nie był, jest i nie jest.

— To to wasz syn, Panie Bracie? rzekł z głośnym i grubym głosem namiestnik. Toto jego wczoraj casus taki spotkał.

— Co za casus? co takiego? zawołał z niecierpliwością Dodosiński. Czy ja się dowiem czego od was dzisiaj, czy nie?

— Mówcie, mówcie, jeżeli wiecie, a prędko! zawołał młodzieniec z posłania, bo ja o niczem nie wiem. Na to odpowiedział Srokosz obracając się do niego:

Nie wiesz Panie co się działo,

A dlaczego powiemé śmiało:

Boś był także między nami

Nie na ławach, pod ławami.

— Cicho, ty nieznośny gaduło! rzekł młodzieniec z pościeli. Pan subdelegat będzie najlepiej wiedział, co i jak się stało. Proszę tedy.

Zapytany przybrał minę wątpliwą, przychylił nieco głowy, spuścił oczy, ruszył ramionami, otworzył ręce, a przeginając się z boka na bok zaczął chodzić po izbie i mówił: In tantum, in quantum sobie przypomnieć mogę, rzecz się miała sposobem następującym:

Byłoto już, Mości Dobrodzieju, dawno po zachodzie słońca. Pan wojski, jak wiadomo,

główny gość i powód wczorajszej ochoty, mężnie jeszcze wszystkim dotrzymywał placu, i otoczon wkoło trupami w téj bachusowej sprawie poległymi z panem starostą i z nami trzema, jak nas tu Panowie Bracia widzicie, walczył zapamiętale i kaźden kielich, jak się uczeiwemu człowiekowi godzi, z kolei przyjmował. Hej! zawołał pan starosta rozgniewany, jak już widziałem, wytrwałością przeciwnika, hej! dać tu smoczek! Jedno jeszcze zdrowie, *Vivat Kochajmy się!* spełnić musimy. Ha dobrze, rzekł Pan wojski, przestępując z nogi na nogę i wkrótce podano groźne narzędzie, z którego żaden fryc i jednego łyka nie pociągnie. I gdy go nasz Pan wziął do ręki, wszedł wówczas marszałek, zbliżył się do niego i coś mu szepnął do ucha. Ha ladaco! zawołał pan starosta tém rozgniewany, że doznaje zwłoki w zamierzonym pokonaniu przeciwnika swego. Cóż takiego! krzyknęliśmy wszyscy zrywając się do kordów. Nic, nie, rzekł pan starosta, dając nam znać ręką, to mój syn drapnął ze szkół z famulusem swoim. Trzeba go ukarać: panicza wsadzić do sypialnego pokoju nieboszki żony mojej, a famulusa do spichrza. Idź Wasć! rzekł do marszałka i zawoławszy: *Vivat! Kochajmy się!* przysadził się do smoczka, lecz niestety brakło siły; legł pod przewagą téj broni, i dotychczas leży jeszcze. A Pan wojski obróciwszy się do nas rzekł: Dajcie go tutaj! Ja to kiedyś umiałem. I w mgnieniu oka wypróżniwszy smoczek, pomógł



odprowadzić pana starostę do łóżka, a sam wypiszy jeszcze kufel piwa dla ugaszenia pragnienia, wsiadł do powozu i zdrów do domu pojechał. Tymto tedy sposobem dostał się panicz i syn Pana Dodosińskiego.

W tém usłyszano klarynety. Ten odgłos przerwał mowę opowiadającego i uwagę słuchających. Pan wstaje! zawołali wszyscy i jeden przed drugim spieszył powitać łaskawego Pana.

Niedługo zgromadzili się goście w pokoju przyległym sypialnemu pana starosty i zastali jego respektowych dworzan, oczekujących przybycia pańskiego i gotowych na jego usługi. Stary Dodosiński wszedł za innymi nieśmiało, z twarzą posępną, bo nie był pewnym pomyslnego skutku zabiegów swoich. Jedni poglądali na niego z politowaniem, drudzy szydzili z wypadku ukochanego synalka, a mało kto był taki, coby się chciał za nim do pana wstawić.

Po niejakiém oczekiwaniu wyszedł szatny z pokoju pańskiego i zawołał Dodosińskiego do pana starosty, zostawując obecnych zajętych domysłami nad tém, jak mu tam będzie; a Srokosz rzekł za odchodzącym:

Nie chciałbym być w jego skórze,

Boby mnie świeźbiało srodze:

Kiedy przewidujem burze,

Lepiej pono ufać nodze

Fugas w chrustas, i w kraj, 'świat'

Bo wara marszałka bat.

Głośny śmiech powstał na ten koncept na-

dwornego poety, którym zatrwożonego ojca Faustyńka pożegnano, tak iż wesoły odgłos aż w pokoju pana starosty się odbił.

Lecz tu były rzeczy weale inaczej, jak się spodziéwano. Pan starosta obudziwszy się nie widział o tém, co się dnia wczorajszego stało i mocno się zdziwił, gdy go się marszałek zapytał: coby miał z paniczem robić. Pomiar-kował się wszelakoż, i chcąc pokryć nieprzyzwoi-tość swego postępku rzekł surowo, zapytawszy się wprzód nieznacznie o niektóre szczegóły po-wrotu Waclawa: Idź Waśc zawołać mego syna i zostawić mnie z nim sam na sam.

Przykro było ojcu przybiérać powiérzcho-wność zagniéwanego, gdył czuł wewnątrznie, iż zbyt porywczó wczoraj osądził syna, którego bardzo kochał i dobre przymioty wysoko cenil. Lecz niechcąc ujmy czynić powadze ojcowskiéj, przez wzięcie winy na siebie, rzekł do Waclawa, gdy ten z pokorą wszedł do pokoju i rękę oj-cowską pocałował:

— Cóż się ma znaczyć to nagłe przybycie, czyli raczej ta ucieczka ze szkół?

— Przewiniłem ojeze, odpowiedział Waclaw padając mu do nóg, ale w uczciwéj sprawie. Uniósłém się zbytęcznie, stałem się przyczyną zamieszania i miałem być sromotnie karany, lecz, dodał z ogniem powstając z miejsca, nie mogąc znieść zniewagi wołałem wrócić do ojca, paść mu do nóg, i błagać jego przebaczenia i pro-tekcyi.

Podobały się staroście, postawa śmiała i szlachetne uniesienie Waclawa. Uniósł głowy do góry z uśmiechem i rzekł: Dobrze tak, Waclawie! dobrze! Czuly jesteś na dobrą sławę, takimi wszyscy przodkowie twoi byli. To mnie cieszy, i za to odpuszczam ci wszystko, cokolwiek mógłś uczynić i nawet chęci znieważenia ciebie srodze dopominać się będę.

Ucałował Waclaw rękę ojcowską i rzekł: Lecz to nie tylko o mnie samego idzie. Jest tu jeszcze kto inny, co niewinnie za mnie cierpi, i który także wczoraj zamknięty został; za nim błagam łaski twojej, Ojcze!

— A zakimżeto? zapytał starosta, usiłując pokryć niewiadomość swoją, czy za tym . . . to mówiąc dał znak pogardzający głową.

— A tak, odpowiedział syn. Jakkolwiek powierzechowność jego nie mówi za nim, jest on wszelako przywiązany do naszej familii i w tym razie właśnie na karę, jaką mu przeznaczyłeś, Ojcze . . .

— Karę? zapytał przerywając starosta. Ale bo widzisz, ja rozumiałem że kiedy . . . No, z resztą zobaczę jeszcze, co zrobić wypadnie; tylko mi wszystko opowiedz jak się stało, abym wiedział, czego się mam trzymać.

Waclaw powiedział ojcu z największą otwartością całe zdarzenie, w którym tenże nie tak nagannego nie widział, zwłaszcza że był osobistym nieprzyjacielem ojca owego Podkomorzycy, którego Waclaw wyzwał i drżącego na plac bi-



twy z katedry wyciągnął. Następnie przytoczył postępek Faustynka i oswobodzenie swoje z karcery, co się tak bardzo staroście podobało, iż kazał przywołać marszałka, i surowo go się zapytał: ktoby był śmiały wsadzić Faustynka do spichrza?

— Jaśnie Wielmożny Pan, odpowiedział z nieśmiałością marszałek, rozkazałeś.

— Ja rozkazałem? Toś się Waśc przesłyszał. Ja tego rozkazu dać nie mogłem, i chcę, żeby go wypuścić i żeby nikt o tém nie wiedział.

— Jakże nie ma nikt wiedzieć, odparł marszałek, kiedy ojciec jego już się z nim widział, i czeka w przyległym pokoju na wyjście JWPa-na, aby łaski jego za synem błagać.

— Co też Waszeć za niezręczny sługa? zawołał z gniewem starosta. Nie mogłeś się Waśc domyślić... ale co tam, mniejsza o to. Wołać mi starego Dodosińskiego!

W skutku tego rozkazu wszedł tedy nasz stroskany ojciec i skłonił się pokornie do nóg staroście i czekał z trwogą spełnienia przykrój wróżby, którą wychodząc z sali wspólnego zebrania za sobą słyszał; lecz jakże się zdziwił i pocieszył, gdy usłyszał te wyrazy starosty:

— Masz Waszeć poczciwego syna! Chciałem się przekonać o rzetelności tego, co mi o nim powiedziano, dlatego musiałem go kazać potrzymać trochę na osobności, aby zapobiedz zmo-wie; ale za to przekonawszy się, że jest wier-nym i przywiązanym do nas, przyjmuję go do

mego dworu na pokojowca. Wszakżeś sobie Waść tego życzył kiedyś?

— A, Jaśnie Wielmożny Panie! odpowiedział Dodosiński uradowany padając do nóg starosty. Łaska Jaśnie Wielmożnego Pana . . . i co tylko z mojej strony . . . najuniżeniej.

— Dobrze, dobrze, Panie bracie, rzekł starosta podnosząc go lekko od kolan swoich. Idź Waść teraz nacieszyć się z synem, pojutrze go odprowadzisz do służby. Dziś możecie sobie wrócić do domu.

To rzekłszy dał znak, aby drzwi otworzono. Wszedł z rozweseloną twarzą, mając Wacława przy sobie, między kłaniających się ze wszech stron dworzan i gości, i powitał wszystkich uprzejmém skinieniem.

Następnie wydał rozkazy kilku dworzanom, którzy, w miarę ich odebrania, spiesznie z sali wychodzili. Pomówił z kilką osobami w szczególności i w ogóle do wszystkich słów kilka przemówił; wspomniał o powrocie syna, jakby się żadna przygoda nie była wydarzyła; po chwili zaprosił gości na śniadanie do owój izby, gdzie przed godziną szlachta na słomie zalegała.

## ROZDZIAŁ VII.

### *Wyprawienie jedynaka w świat.*

Opuścił uradowany ojciec smaczne śniadanie, jakiego nigdy w domu nie miał, bo w pierwszym uniesieniu szczęścia swego nie pomniał na to, że nicby na tém nie był stracił, gdyby był nieco spóźnił uwolnienie Faustynka, lub gdyby uwolniwszy go był sam wrócił do bigosów, ozorów, kielbas i alembikowej wódki. Lecz niespodziewana pomyślność odjęła mu przytomność umysłu, której zwykle dawał dowody, ile razy szło o to, aby się na obcym stole pożywić. Z boleścią zolałka przebiegł przez sień, w której go zapach smażonej kielbasy zaleciał, i wyznać należy na jego pochwałę, iż miłość rodzicielska wzięła tak dalece górę nad wrodzoną dbałością o własną osobę, że, lubo go wabny zapach na chwilę zatrzymał, nie zdołał wszelakoż odwieść od celu, do którego z takim pospiechem zmierzał.



Załował, lecz zapóźno tego poświęcenia, bo przyszedłszy z podstarościm do spichrza, długo wołał i szukał Faustynka, nim go na kupie wełny spiącego znalazł i obudzić zdołał. Zląkł się z razu syn, gdy go nagle przebudzono; słuchał jak przez sen opowiadania uszczęśliwionego ojca; a przerażony osobliwością zdarzeń, które go w tak krótkim czasie ze zwyczajnej kolei życia wyprowadziły, nie dowierzał ani sobie, czy dobrze słyszy, ani ojcu, czy prawdę mówi. Lecz wstał z legowiska, obejrzał się, nic do nikogo nie przemówił, zszedł z przezornością na dół, i wyprzedzając ojca zbliżył się do drzwi, wytknął naprzód głowę, spojrzął na wszystkie strony, a nie widząc w pobliżności nikogo wyskoczył raptownie za drzwi i co siły ku domowi uciekać zaczął. Napróżno wołał za nim ojciec: Faustynku! Faustynku! czekaj! czekaj! Napróżno zawinawszy poły żupana co siły za nim ruszył, wołając: A czyś oszalał! Czekaj! stój! Nic nie pomogło. Faustynek tak dobrze zbierał nogi, że wkrótce znikł w przyległym lesie, a ojciec stanął na drodze i rzekł: Oj głupi, głupi... no proszę, było po co opuszczać pańskie śniadanie! To wspomnienie przejęło go niechęcią; szedł jednak spieszo naprzód, i gdy stanął przed dworkiem swoim, mocne miał przedsięwzięcie złajania syna za nierozmyślne postępowanie. Lecz zamiast niego natrafił nasamprzód na swoją małżonkę, która wybiegając przed się rzuciła okiem na niego i zawołała:

— A ja nieszczęśliwa! wszakże on bez syna do domu powraca! A nie czekając dalszego tłumaczenia męża, oddała się rozpacz i rzekła: Otoż to tak, stało się com przewidziała! Nie masz go! i bóg wie jeszcze co się z nim stanie, a wszystko przez twoje głupstwo, przez twoje złe prowadzenie.

— I co mi tam gadasz z prowadzeniem, odparł z niechęcią Dodosiński. Gdybymci go był miał w rękę, tobym go zapewne był dobrze prowadził; ale kiedy wypadł jak oparzony i pobiegł naprzód sam nie wiem czego, to trudno go było gonić.

— Więceś go widział? więc już nie siedzi? więc jest wolny?

— Bogdajby był dłużej siedział, jak co mnie zmęczył, ciebie niespokojności nabawił i, co najgorsza, mnie śniadania pańskiego pozbawił. Ale gdzież on jest, jeżeli go tutaj nie masz?

Pani Dodosińska żądała wytłumaczenia niezrozumiałej dla siebie mowy mężowskiej, a gdy powzięła wiadomość o nader pomyslnym obrocie tej zatrważającej okoliczności, dała oznaki największej radości, i przejęta niecierpliwością oglądania jedynaka, pobiegła głośno wołając szukać go po całej okolicy. Nie był on daleko, bo gdy się głos macierzyński koło stodoły dał słyszeć, odpowiedział na niego Faustynek i wyrzawszy dziurę w poszyciu, przywołał matkę, której więcej jak komukolwiek ufał. Wypytał ję się o wszystko, a otrzymawszy najmocniejsze zapewnienie

nie: że mu się nic złego nie stanie, że go owszem wielkie szczęście czeka, zlął na ziemię po dachu, znacznie ku niej nachylonym, i musiał przyjąć najczulsze powitanie matki.

Pominiemy to, co dalej nastąpiło, bo każdy łatwo się domyśli, że ojciec chciał łajać zbiega, a matka nie pozwoliła na to. Faustynek zaś na wszystko był głuchy i nieczuły, ale donośnym głosem wołał jeść; i zasiadłszy w izbie za stołem, póty za nim posępny siedział, póki troskliwa matka życzenia jego nie zaspokoila. Dni następne zajęte były przygotowaniem wyprawy jedynaka na dwór pański; i lubo tam miał dostać barwę dworską, trzebać go było wszelako innym dworakom przystojnie przedstawić. Dlatego rozlegał się przez całe odwieczrze odgłos kijanki, którą na ławie przy sadzawce bieliznę Faustynka tłuczono, aby ją do czystości przymusić. Matka dobyła ze skrzyni nożyc, i przytrzymując nad czołem lubo od starego przetaka, równiuteńko po niem włosy syna ostrzygła. Ojciec dobył sejmikowego kontusza, w którym syn miał na dworze wystąpić, z warunkiem zwrócenia onegóż, gdy przynależną barwę otrzyma. Ponieważ zaś syn znacznie przerosł ojca, zdarzyło się, iż cały ubiór był na niego zakrótki, i że długie ręce zbyt daleko z rękawów wyglądały. Lecz na to nie można było zważać, bo familijne szaty nic lepszego w sobie nie zawierały.

Gdy nadszedł dzień wyprawienia syna do dworu, tyle było przygotowań do uczynienia, iż



południe nadeszło, a Faustynek nie był jeszcze gotów do podróży. Wyszedł nakoniec z alkierza wyciągając ręce naprzód z całej siły, aby ciasne rękawy cośkolwiek przypuścić chciały, i oddychając ciężko z powodu wszelkiemi sposobami ściągniętego kontusza, który i tak nie obstawał jeszcze na całą okragłość jego. Ojciec naglił odjazd. Dlatego pożegnawszy się z matką, która się łzami zalala, jak gdyby na długi czas traciła syna, wsiedli na konie i stósownie do możności tychże, wolnym truchtem naprzód ruszyli.

Ledwie że parę staj ujechali, zatrzymał konia Faustynek, odetchnął ciężko i rzekł: A niech tam diachli wezmą ten wasz strój paradny. Kolka mnie spiéra, ledwie dyszę; ręce proste jak drągi w tych wązkich rękawach żupana: to pęknie, nim dojedziemy. Jeżeli mi w takich sukniach każą u dworu chodzić....

Nie bój się o to, rzekł Pan Wojciech Dodosiński poważnie. Mam ja o czém inném z tobą mówić. Bo kiedy masz wyjść na człowieka, to cię muszę wprzody nauczyć, jak masz postępować; bo kiedy wleżesz między wrony, musisz krakać jak i ony. Ażebyś umiał krakać, to ja cię muszę nauczyć, boć ja przecież byłem także dworskim u nieboszczyka wojewody, który, jak wiesz, udarował mię tą fortuną, odemnie, dla wiadomości potomków moich, Dodoszami nazwaną.

— Ji wiem, odparł Faustynek, stękając i przytrzymując konia, aby szedł stępą. Jużście mi to nieraz powiedzieli, Tatynku.

— Ale tego nie wiesz, czego się teraz dowiesz, rzekł dalej ojciec. Bo ja chcę, żebyś ty się wypromowował na człowieka i był *Felix* et *Faustus*, jak mi to o tobie przepowiedzieli.

— Ba, jeszcze czego! odparł syn z głośnym śmiechem. Nie miałbym wiedzieć, zem *Felix* i *Faustyn*!

— Tu nie o to chodzi, rzekł z niecierpliwością ojciec. Ty tego nie rozumiesz, i kwita. Dlatego bądź cicho i słuchaj. Jak pójdziesz w dworską służbę, to ci marszałek i inni dworacy powiedzą to i owo, ale ty tego nie słuchaj, tylko pamiętaj na przykaz twojego ojca, a mnie samego, jak mnie tu widzisz żywego. Bo tu idzie o twoje szczęście i promocyą, nie o to i owo, czego będą chcieli od ciebie. Powiedzą ci, że wszystko zależy na tém, abys był układny, zgrabny, przystojny. To bajki: bo naprzód człowiek tak musi być, jak go Pan Bóg stworzył, a potem nie na tém sztuka przypodobania się, tylko na mądrej głowie. Powiedzą ci na wstępie do dworu: że masz być wiernym, chędogim i trzeźwym. No, wiernym, to prawda, bo któżby panu swemu wiernym nie był? chędogim, dobrze, jeśli możesz; ale trzeźwym — bajki, zwłaszcza u Pana starosty. Ale czego ci nie powiedzą, a ja ci powiem, oto to: że chcąc mieć łaskę u pana, trzeba być pokornym, zwłaszcza z początku, usłuchanym i gotowym na wszystko, skoro rozkaże. Kiedy ci pan powie: *Faustynek*, palnij

go! zaraz na odlew; albo: Faustynek, wypij duszkiem! natychmiast, i co do kropli.

— No, to dobrze, przerwał syn, póki idzie o wypicie i wybicie. Ale kiedy tamten odda, a może lepiej?

— To nic nie szkodzi, rzekł ojciec. Kto téżto kiedy przyszedł do czego, co był łechciwych pleców albo sztywnego karku? Otożto to mi się przypomniało... Oj naucz się kłaniać, a nisko do nogi, czapkę na dół, ot tak — do samej kostki przykladać i mówić zawsze: Jaśnie Wielmożny Panie; słucham Jaśnie Wielmożnego Pana; dziękuję unizenie Jaśnie Wielmożnemu Panu. A pamiętaj, żebyś zawsze mówił: *Tak* albo *Dobrze*, a nigdy *Nie*. Tego państwo nie cierpi, żeby człowiek miał się spiérać i miał swoje zdanie. Kto chce iść w górę, ten musi się chylić, póki na wierzch nie wlezie; a jak tam będzie, to się będzie mógł wyprostować.

— Rozumiem, rozumiem, rzekł syn. Dlatego najlepiej nic nie mówić, jak powiedzieć coś takiego, coby się panu nie podobało.

— Oto to, dodał ojciec. Myśleć sobie możesz, ale gadać nie; a kiedy gadasz o kim albo o sobie, to nie tak, jak myślisz, bo największe głupstwo wygadać się z tém, co człowiek ma na myśli. Tego najbardziej musisz się strzedz między innymi dworskimi. Pamiętaj na to, że to są wszystko ludzie, którzyby cię chcieli podsiąść, dlatego nie ufaj żadnemu, nie zwierzaj się nikomu; a kiedy będziesz miał sposobność, to



szeptnij samemu panu albo marszałkowi, co tam zobaczysz i ułyszysz między innymi dworskimi, ale przecie tak, aby się oni o tém nie dowiedzieli, hoby ci skórę wybili. Przez takie doniesienia będziesz mógł zyskać łaskę.

— Dobrze to wszystko, rzekł syn. Ja słyżę, co mam robić, ale nie wiem jeszcze czego się mam spodziéwać.

— Dowiesz się zaraz, odpowiedział ojciec, tylko ciérpliwie słuchaj a potém czekaj. Dziś jesteś pokojowcem, a za lat kilka.... no zobaczysz, co to będzie.

— Co mi tam z tego, co będzie, rzekł syn; ja chcę wiedzieć co mam mieć teraz.

— A cóżto ty myślisz sobie, odparł ojciec, czyto można tak do razu zostać człowiekiem? Trzebato zaczynać od maleńkiego a potém się pięć powoli. Kiedy mnie ojciec oddał do dworu nieboszczyka Pana wojewody, tom od razu nie został pokojowcem tak jak ty, ale byłem przez rok prosto chłopcem, a przecież widzisz teraz do czego doszedłem.

— A widząc — rzekł syn, przedłużając wyraz ostatni.

— Ty zaś zostawszy pokojowcem, mówił dalej ojciec, dostaniesz zaraz barwę dwoistą: jedną od powszedniego dnia, drugą od święta; będziesz służywał do stołu z talerzem i do butelki z tacą.

— Nie, tego ja nie chcę, przerwał Faustynek. Ja tego nie ciérpię, żeby stać za stołkiem,

kiedy drudzy jedzą, albo trzymać flaszkę, kiedy drudzy z niej piją. To człowiekowi tylko ślina do gęby idzie. Nie, to nie niewarto.

— Ale się umityguj, Faustynku! zawołał ojciec. To inaczej być nie może. Od tego trzeba zacząć, aby potem siadać do stołu. Wieleżto ja ludzi dzisiaj na pierwszym miejscu u stołów widuję, którzy dawniej za krzesłami stawali.

— Ale kiedybym ja nie wytrzymał z głodu, odparł syn; nierazbym sięgnął po jadlo z wielkiej pokusy.

— A toby cię za to plagi czekały u marszałka, rzekł ojciec. Ale i plagi szlachecowi brać miło u dworu, bo kiedy innych pokojowców i lokai hamów rozciągają na podłodze, to szlachezca tylko na kobiercu pokładać wolno. Abyś się tylko umiał aplikować panu marszałkowi, to ci się żadna krzywda nie stanie, i to przynajmniej do lat trzech: bo potem to cię już nie będzie mógł karać bez wiedzy pańskiej.

— Ale co się to przez trzy lata nabrać można! rzekł syn. A potem cóż dalej?

— Oto po trzech latach, mówił dalej ojciec, zostaniesz dworzaninem. Pan podczas gali jakiej każe ci wystąpić przed gośćmi w paradnych sukniach, nie barwianych tylko zwyczajnie szlacheckich; palnie cię z całej siły w gębę, abyś pamiętał łaskę pańską; przypasze ci potem szablę do boku; wypije do ciebie kielich wina; da ci konia z siedzeniem i drugiego z masztalerzem

w zasługach trzechletnich, i pozwoli ci jechać w kraj-świat, tentować lepszego szczęścia.

— To, to, ale, rzekł syn, to mi się podoba, ten koń jeden i drugi. Ale gdzież ja pojedę na nim?

— A pocóż masz jechać zaraz? odpowiedział ojciec; będziesz także mógł zostać u Pana, i być u niego dworskim pojedynczym, to jest z jednym koniem; albo lepiej podwójnym, to jest, z parą koni i człkiem: wtenczas będziesz brał dwieście złotych zasług na rok. Ale wtenczas, bratku, trzeba już będzie umieć dobrze się bić szablą i rąbać się za sprawą i rozkazem pańskim.

— Jakto? na ostre szable? To mnie się nie podoba; do tego ja się nie zdam. Na kije, to jeszcze. Czyto człowiek do niczego więcej nie będzie dworskim, tylko do szabli?

— Ale gdzie zaś. To się tam rzadko kiedy zdarzy, a za to co za swobodne życie zwyczajne dworzanina! Rano wstawszy człowiek idzie na pokoje pańskie, czekać na wyjście pana i prezentować mu się w ubiorze przystojnym. Jeżeli da jakiś rozkaz, to go się wypełni, a jeśli nie, to człowiek zostaje w sali i gra z innymi w karty, albo idzie gdzie mu się podoba. Wieczorem zchodzą się dworscy do siebie: piwo, miód i maliniak z pańskiej piwnicy pokrzepia i rozwesela wszystkich; tak się to nie jedną noc przepędzi na hulance. Dworzanin już siada do stołu, albo do pańskiego, albo do marszałkowskiego.

— To mi się podoba, to chwałę.



— Prócz tego, obowiązkiem jest dworzanina asystować panu w kalwakacie, kiedy gdzie wyjeżdża w paradzie. Czasem kiedy się dworzanin dobrze aplikuje, to go pan wyśle ze zbożem do Gdańska; a kiedy się tam dobrze sprawi, to prócz tego co się od kupca wytargować potrafi, i pan go jeszcze nagrodzi. A kiedy dworzanin wpadnie w łaskę pańską, to go pan czasem promowuje do fortuny: puszcza mu wieś niskim kontraktem w dzierżawę, albo, jak mnie, obdaruje fortuną szlachecką, albo nakoniec dobrze ożeni.

— To mi się podoba, zawołał Faustynek i popędził konia batem.

## ROZDZIAŁ VIII.

### *Przypadek.*

— Poczekajmy Tatynku, rzekł Faustynek. Niech to bydło i te owce miną, co oto idą z pola; bo haniebny kurz robią, to Wam się czerwony kontusz zakurzy.

— A ktoby tam czekał! Bierz licho i kontusz; słońce oto już zachodzi; trzebać się za dnia jeszcze pokazać panu.

— A toć zdążymy przecież: wszakże to już ten spichrz, w którym niedawno pokutowałem... No otoż masz! krzyknął nagle; a nie mówił ja Tatynkowi, że trzeba było poczekać? Widzisz go! Czy oszalała bestya? Prr! prr! Tatynku, Tatynku! Ratuście, kto w boga wierzy!

Tak wołał Faustynek, bo wjechawszy pomiędzy bydło, owce i kwiczącą trzodę, w nieładzie z pola wracające, naprzód nic nie widział, bo

kurz zupełnie zaległ oczy, potem uczuł mocne podrzucenie siebie na siodle, gdyż koń jego wierzgać zaczął; nakoniec jechał prędzej jak chciał, bo go koń uniósł i z nim pomiędzy bydłem na wszystkie strony biegał. Był to wysłużony rumak ojcowski, siwy i chudy, jako zwyczajnie u szlachcica, który nie zwykł owsa na obrok marnować; lecz przy tém pomimo lat podeszłych, czego gęsta po całym ciele rozsiana gryczka dowodziła, niezdolny znosić cierpliwie obelgi od innych zwierząt, pośledniejszych od siebie, doznawane. Dlatego widząc się wśród tłoku różnorodnych mieszkańców chlewów, obór i owczarni, i nie mogąc ścierpieć, to trącania siebie po nogach przez jednych, to gonienia za sobą przez drugich, wziął na kiel, aż wędzidło sznurkiem związane pękło, a wówczas nie czując żadnego hamulca puścił się w zawody z napastnikami swymi i jednych sięgał zębami, drugich dosięgał kopytami; a wszędzie unosił z sobą mocno za grzywę trzymającego się Faustynka, który nie wiedział, czego się bardziej obawiać: czy silnego podrzucania siebie do góry za każdym wierzgnięciem konia, czy uderzenia rogami napastującego bydła, bardziej jego rawskim czerwonym mundurem, jak zuchwałością konia rozjątrzonego.

Ojciec Dodosiński miał pod sobą wcale przeciwnej natury konia. Był to kasztan ślepy na jedno oko, z długą kołtuniastą grzywą, pożyczony od Wołka na tę wyprawę, który wtedy tylko służył za wierchowca panu swemu, żydowi, gdy



go tenże na jarmark wyprowadzał. Aże się to często zdarzało więc nawykł był tak dalece do licznego rogatego zgromadzenia, że mniemając zapewne, iż się znówu na takim publiczném zebraniu znajduje, stanął jak wryty, spuścił łeb ku ziemi i dalej postąpić nie chciał. Lecz ponieważ stroskany ojciec chciał pospieszyć na ratunek jedynaka w czerwonym żupanie, który pomiędzy bydłem ciągle galopował i raz w raz spadnięciem z konia groził; dodał więc silnym razem ochoty koniowi do ruszenia naprzód. Ten sądząc bez wątpienia, że przed jakim znawcą ma dać dowody swojej biegłości, dobył sił ostatnich i ruszył naprzód czwałem, w kierunku przeciwnym jak sobie jeździec życzył, prosto na gromadę owiec, w której, jak niegdy Rossynant, śmierć i trwogę roznosił. Gdy to spostrzegli owczarze, zastąpili z krzykiem pędzącemu koniowi, który uradowany tém, że się skończyło wymagane popisywanie się, stanął i oddał Pana Dodosińskiego w ręce owczarzy, dopominających się wynagrodzenia zrzędzonej szkody w owcach. Chciał zręcznie zwrócić konia ku Faustynkowi nieszczęśliwy ojciec, bo właśnie spostrzegł, jak przez łeb koński przeleciał i upadł na piasek, jak gdyby na pastwę nacierającego nań bydła; lecz silnie trzymany przez areштujących go owczarzy musiał poprzestać na tém, że w niebogłosy krzyczał na pasterzy, aby syna ratowali. Już stał syn na nogach, za pomocą nadbiegłych ludzi, oddychał ciężko, poglądał na popękane rękawy

żupana, i otrzepywał się z kurzu, który był zmienił kolor kontusza, gdy ojciec przybył do niego pod eskortą owczarzy i troskliwie pytał, czy mu się co nie stało.

— Ej, idźcie Tatynku! zawołał. A nie mówił ja Wam, żeby poczekać aż miną? No i cóż teraz ze mnie będzie?

Starął się uspokoić syna P. Wojciech Dodosiński, kazał mu wziąć na rękawy kontusz i czyścił go jak mógł; lecz gdy się zabrał iść z nim do blizkiego już dworu, zawołali owczarze: A nasze owce kto nam zapłaci? Jedna na amen stratowana, a drugieście nogi połamali. — Chciał ich ułagodzić Dodosiński, lecz nie nie pomogła moc wymowy tam, gdzie szło o zapłatę, której nigdy pięknymi słowami zbyć nie można. Dlatego musieli obadwa zezwolić na to, aby ich przed Pana marszałka, jako 'delinkwentów zaprowadzono.

Weszli na dziedziniec z hałasem, jaki sprzeżka wzbudzała, aż się echo po ścianach dworu i oficyn rozlegało. Pusto bowiem i głucho było przede dworem, gdyż Pan starosta wyjechał był z synem w sąsiedztwo, a pozostali dworzanie i pokojowcy korzystali z wydarzonej sposobności trawienia czasu na zabawie.

— Dodosiński ojciec, rozgniewany natrętnością owczarzy, poszedł śmiało do dworu, rozumiejąc, że tam łatwo spór ukończy, gdy rzecz całą staroście opowie. Otwierając drzwi usłyszał mocny

hałas w przedpokoju, krzyki, śmiechy i uderzania, aż się okna trzęsły. Grano bowiem w pliszki: jeden z pokojowców rozciągnięty na podłodze brał plagi, jako przegrywający; a że zbyt były dokuczające, aby je mógł znieść cierpliwie, zerwał się właśnie i do bijącego przyskoczył, chcąc żarty w prawdziwą bitwę zamienić. Ztąd powstał zgielk i krzyk taki, iż przybyli oskarżeni i oskarżyciele nie tylko z nikim mówić, ale nawet samych siebie słyszeć nie mogli. Dodosiński, chcąc przyspieszyć koniec swojej sprawy, pomyka się przy ścianie przedpokoju do drzwi przyległej sali, i zasłaniając się rękami przed licznie rozdawanymi razami, chyłkiem do nich spieszy, otwiera je i wchodzi . . . . Co za obraz nieładu i zniszczenia! Gdy się lokaje bawili i bili w przedpokoju, wpadły tymczasem psy otwartym oknem do jadalnej sali. Służalcóm pilniej było grać w pliszki, jak sprzątać ze stołu po obiedzie, i nowi czworonożni goście za nich wszystko z niego posprząta-  
li. Ogromny ogar chodził po stole, wietrzył i szukał, czy nie masz jeszcze jakiego posiłku, i przy tym spacerze zrzucał na podłogę resztę szklanek i talerzy. Drugi pies leżał między skorupami potłuczonego szkła i farfurek, trzymał w przednich łapach i ogryzał kość dużą oglądając się z wyszczerzonymi zębami na mniejszego kądla, który mu chciał porwać owe kość niezgody. — A dla Boga! Cóż się tu dzieje! krzyknął Dodosiński, i to tak donośnym głosem, że go pomimo zgielku jeden z lokai dosłyszał, pobiegł ku drzwiom i



jeszcze dobitniejszym krzykiem wszystkich kolegów swoich przywołał. Ustała bitwa między ludźmi i nastąpiła walka z psami; a Dodosiński domyślając się, że pana niemasz w domu, wrócił do swoich towarzyszków i z nimi poszedł do oficyny, gdzie marszałek i dworcy mieszkałi. Wchodząc szybko do sieni trącił piwnicznego wracającego z koszem wina z piwnicy. Przełaskł się na uczynku złapany piwniczny, cofnął się ku ścianie, kosz za siebie postawił, zasłonił go połą kontusza, i będąc dobrze napiły wielkimi szklannemi oczami na Dodosińskiego spojrział, aby rozpoznać, czy pan czy marszałek takiego mu strachu napędził. Napróżno przemówił do niego Dodosiński; próżno krzycząc powtórzył Faustynek zapytanie: gdzieby był marszałek? Piwniczny zakrywał kosz wina, kiwał się na obie strony, i z uśmiechem bełkotał tylko te wyrazy: To nic, To nic, Wielmożny Panie.

Wiadomy będąc miejscowości postąpił Dodosiński ku drzwiom izby, w której zwykle dworzanie się bawili, i teraz zapewne zabawą zajęci być musieli, gdyż rozmaite słyhać w niej było odgłosy. Gdy drzwi otworzył, ujrzał bardzo znajomy sobie widok: Czterech starszych dworzan klęczało w kole na środku izby, a jeden z nich trzymał kolejny kielich, i prawiąc długą perorę przechylał go nieustannie i wylęwał z niego wino na podłogę. Srokosz poeta siedział na stole, śpiewał z całego gardła przygrywając sobie na bandurce, a przytęm przechylał głowę, przymru-

żał oczy i na nic nie zważał, bo już nie mógł patrzeć, tak iż się zdawało, że całkiem poetyckiemu natchnieniu był oddany. Ostatni nakoniec z obecnych dworzan już był zwalczony i w kącie na ławie ciężkiem chrapaniem bytności i życia dawał znaki. W drugim kącie stało dwóch pacholków, posługaczy dworzan, którzy z kolei wytrząsali butelki przez panów wypróznione, a jeden z nich korzystając z zupełnej nieprzytomności umysłu tychże, sięgał zręcznie po ledwo napoczętą butelkę, która za kołem pijących stała. Gdy Dodosiński spostrzegł, że go nikt nie widzi i nie poznaje, rzekł: Próznoby było z nimi napocząć; szkoda jednak, żeśmy tak późno przybyli. I obracając się do jednego z pacholków dodał: Słuchaj ty, a gdzie Pan marszałek? U Pana podstarościego, rzekł tenże zmykając zręcznie butelkę i chowając ją za siebie. —

— A pójdźmyż do podstarościego! zawołali owczarze; bo my nie ustąpić. Poszli więc wszyscy do folwarku. Wchodzą do czeladnicy; ten sam hałas, co we dworze i w oficynie. Krzyk służebnic folwarcznych oznajmił, że nie były same, i że pobłażano ich próżnowaniu i zabawie. Tymczasem kipiało z garnków i kopraków na kominie, a wieczerza czeladzi ogień zalęwała. Wracając z pola zwierzęta niegodnego wspomnienia wstępny bojem zaległy czeladnicę, tak iż przybyli goście ledwo z niej wyjść mogli, z powodu ich plątania się między nogami. Nie było gospodyni, bo właśnie w spiżarni miała odwiedzin komoszek i

przyjaciółek, które pod fartuchami zapasy leguminy i okrasy wynosiły.

Wydobyszy się z trudnością z licznego zgromadzenia, które ich pochód wstrzymywało, udają się oskarżeni i oskarżyciele do podstarościęgo, gdzie prócz niego i marszałka zastają jeszcze trzecią osobę nader dla nich obudwóch, ile się zdawało, pożądaną, to jest: poważnego arendarza, który liczył tyńfy na stole i na dwie równe części przyniesioną summę dzielił.

Zmieszał się Pan marszałek, gdy spostrzegł wchodzących niespodziewanych gości; tracił nieznacznie arendarza, który szybko zgarnął liczone pieniądze, i z gniewem wysłuchawszy sprawy, pomimo wymownej obrony Dodosińskiego, krótki ferował wyrok: że obwinieni mają natychmiast zapłacić za owce, lub w przypadku niemożności uiszczenia się z wypłaty, otrzymać po 10 razów w obecności owczarzy, i to bez względu na protestacyą i appellacyą; bo Panu marszałkowi pilno było ukończyć rzecz całą. Pan Wojciech Dodosiński już chciał ulegać konieczności; lecz Faustynek widząc, że przywoływano parobków z przyległej izby, zawołał śmiało: Hola Tatynku! Nie dajmy się! Wyście powiedzieli, że nam się jako szlachcie kobierzec należy.

— A tak, tak! ozwał się ojciec, zagrzany męztwem syna. Panie marszałku, proszę nie zapominać, że my nie hamy, tylko szlachta! Nie tutaj, lecz między dworzanami miejsce nasze! Waszmość musisz pójść z nami do dworskiej izby,



i porządnie kazać rozpostrzeć kobierzec, bo inaczej, to się protestuję przeciwko gwałtowi, i gotów jestem jutro przeciw Waszmości manifest w Grodzie zapisać.

Nie mógł się oprzeć tój opozycyi marszałek. Z największym gniewem wyszedł z folwarku i przewodnicząc delinkwentom poszedł do oficyny spełnić wyrok. Lecz nie zastawszy tam nikogo przy zmysłach, gdy miał iść do dworu po ludzi, usłyszano trąbkę na dziedzińcu, i Jaśnie Wielmożny Pan zajechał przede dwór i w marszałku przestrach, a w potępionych winowajcach nadzieję wygranęj wzniecił.

## R O Z D Z I A Ł IX.

### *Nawiedziny.*

Wspomnieliśmy wyżej o Pani chorążynie, która się piękną Anielą, córką Dulskiego, opiekowała; o jej córce Pani podstolinie, młodej wdowie po starym mężu; i o JPanu subdelegacie, pełnomocniku téjże wdowy. Przypominamy teraz wszystkie te osoby, dla tego, że je właśnie na scenę wyprowadzić mamy.

Byłato niedziela, dzień pożądaný dla subdelegata, z powodu że miał raz na zawsze zamówiony obiad u Pani chorążyny, przy którym znalazł jakiś powód do przedłużenia bytności swojej do następującego poniedziałku, i dłużej nawet w miarę ważności interesu, którego zlecenie wyjednać sobie potrafił. Przybył on, jak zwykle, na człapaku przed kościół, w którym się chorążyna z córką i z całym dworem na na-

bożeństwie znajdowała; uwiązał konia u płota, a poprawiwszy ubiór przez jazdę konną zmietoszony wszedł do świątyni, stanął z daleka naprzeciw kollatorskiej ławki i poglądał na panie swoje, aby im dać niziuteńki pokłon, skoro która z nich oko na niego zwróci. Dopelniwszy po chwili tego obowiązku uniżoności, zajął się dopiero żarliwie modlitwą, póki po skończonem nabożeństwie ksiądz pleban patyny do pocałowania kollatorkom nie zaniósł, które potem między rozstępującymi się na obie strony wieśniakami z kościoła wyszły.

Subdelegat wyprzedziwszy je czekał u drzwi kościoła, aby ponowić pokorne ukłony i podać rękę stariej chorążynie, która go zawsze żądaniem tej usługi zaszczycała, kiedy piękny czas dozwalał jej wracać pieszo z kościoła do dworu: dla tego, że podczas tej nader powolnej przechadzki miała sposobność dowiedzieć się wszelkich nowin okolicznych, jakie jej subdelegat co tydzień obowiązany był znosić.

Pani podstolina zbyt żywa, aby mogła tak wolno za matką postępować, wyprzedzała ją z młodszą cześcią dworu, i korzystała z czasu przez subdelegata na składaniu rapportu strawionego, aby spacer konny w towarzystwie Agaty, ulubionej panny respektowej, i rękodajnego dworzani-  
na odbyć. Ta pani nie należała bowiem do rzędu tych kobiet, które bojaźliwość skromności do zalet swoich liczą. Zazdroszcząc zawsze niepodległości mężczyznom największe miała upo-



dobanie w zabawach im tylko właściwych; dlatego bywała na łowach, strzelała nawet do napędzonego zwierza, śmiało i zręcznie jeździła na koniu; ale za to nie wzięła nigdy igły do ręki i nigdy do krosien nie zasiadła. Cała jej postać odpowiadała temu szczególnemu powołaniu. Wysoka i dosyć szczupła, była nad zwyczaj żywa w każdym poruszeniu. Czarne włosy zdawały się émić jeszcze płeć przez się śniadą; mocno naznaczone brwi wieńczyły duże czarne oko, które w ciągłym ruchu iskrzyło się za najmniejszą pobudką do gniewu, lub w razach przemijającego uniesienia. Nos, zwykle rzymskim zwany, nadawał jej wyraz powagi i śmiałości, a nad świeżemi ustami, w miejscach, gdzie zazwyczaj u niewiast skromny uśmiech osiada, porastał rzadki i niski wąsik czarny, którym się Podstolina jako najpiękniejszą ozdobą swjej twarzy szczyliła.

Była ona już wé dworze, nim stara Chorażyna połowę drogi przebyła, i pędem na dzielnym koniu wyjeżdżała z dziedzińca, gdy się ta do niego dopiero zbliżała.

— A przez Bóg żywy, kochana Krysiu! wołała za odjeżdżającą, nie szalój tak na tych koniach, bo o przypadek nietrudno. — Eh, gdzie tam, ani słyszy ani zważa na to, co ja mówię. Trzebabyto koniecznie temu męża, któryby to umitygował, ale nie takiego, jak nieboszczyk podstoli, Boże świeć nad jego duszą. Bo to był zastary i zbyt powolny człowiek dla niej.

— Bez wątpienia, odparł subdelegat wprowadzając chorążynę do pokoju. Pod tym względem mam ważną bardzo nowinę do objawienia Jaśnie Wielmożnej Pani.

— A czemużeście od niej nie zaczęli? Toć mię to więcej obchodzi, jak wygrane lub przegrane sprawy, wiołencye i exorbitancye na tych lub owych granicach popełniane, lub zwady domowe małżeństw obcych. A gadajcie przecie. Cóż mi takiego macie objawić?

— Kiedy ja wiem, że to z tego nic być nie może, czegoż mam przeto spieszyć się z niedowarzonem konceptem.

— No, czy co będzie z tego czy nie, chcę przecież wiedzieć, o co rzecz idzie.

— Jedynie dla tego, aby wypełnić rozkaz JWój Pani, powiem tedy: że mnie doszło z boku, iż p. starosta ma pewne zamiary zbliżenia się do domu JWch Pań moich, i ukończenia tym sposobem owego zastarzałego procesu . . . .

— Czyliżto ten proces jest tak wątpliwym, iżby wypadało okupić spokojność poświęceniem szczęścia córki mojej?

— Broń Boże! Ja tego nie mówię, owszem właśnie to utrzymywałem, że z tego nic być nie może. Ale wszakże nie jest tajemnym JWój Pani, iż affekt Pani podstoliny dosyć się ku tamtej stronie nachyla . . .

— Prawda; ale to są wszystko tylko chwilowe kaprysy. A potem, na co się to affekt przyda tam, gdzie idzie o stałe postanowienie?

— Bez wątpienia, bez wątpienia. Zwłaszcza że pan staroście nie ma jeszcze żadnego znaczenia, żadnej funkcyi nie sprawuje . . . Ale wszyscy mu oddają zaletę, że jest bardzo obyczajny kawaler, że zna respekt przyzwoity dla starszych . . .

— Tak, to prawda; ale młokos jeszcze wielki, niedawno wrócił ze szkoły.

— Już od roku, Jaśnie Wielmożna Pani. A ojciec go kocha nad życie i teraz zamyśla go zenić; a ponieważ jest człowiekiem przyjacielskim i lubiącym spokojność, chciałby przeto małżeństwem dawne niesnaski zakończyć.

— Ale pan starosta ostatkiem goni: syn jego będzie chudeuszem. Chciałby sobie poprawić interesu i los jedynaka dobrém ożenieniem zapewnić. To piękne jest życzenie, zapewne. Ale pocóż my mamy stać się jego ofiarą? Gdyby coś podobnego nastąpić miało, upadłaby tém samym cała sprawa nasza; sprawa najświętsza, najpewniejszego sukcesu; wygrana w Ziemstwie, równie pewna w Trybunale; która powróci do dóbr podstoliny całą wioskę i las piękny, tak niesprawiedliwie nieboszczykowi podstolemu wydarty.

— Wydarty? powtórzył z powątpieniem subdelegat. Ja zawsze rozumiałem, że P. podstoli wsi i lasu odstąpił, przez komplanacyą dobrowolną w Grodzie zeznaną.

— Tak; wiem ja najlepiej, jak ta komplanacya była zrobiona. S. p. podstoli, Boże świeć nad jego duszą! był nieco *mente captus*, jak



wiadomo. Pan starosta rościł prawo do gruntu w mowie będącego i ciąglą utrzymywał kontrowersyą; ale ponieważ dowody jego były słabe, a więc poparł je siłą i wiolencyą.

— Pamiętam ja to, pamiętam, rzekł kiwając głową subdelegat. Była to krwawa bitwa, która się w lesie quondam Pana podstolego odbyła. Sto fur i tyluż chłopów ze starostwa spędzonych wycięło w pień kilkadziesiąt morgów najpiękniejszego lasu. Gromada z dóbr Pana Podstolego chciała dać odpór; a gdzie tam! piętnastu chłopów zabili na śmierć, dwudziestu przeszło ranili. I cóż się stało dalej? Oto zamiast poszukiwania téj krzywdy, naznaczono kompromis. P. starosta dodał węgrzyna co niemiara; nastąpiła zgoda i komplanacya.

— Cóż taka komplanacya znaczy? Wszak ona procesu nie kończy.

— Nie kończy, Mościa Dobrodziejko. Wprowadziliśmy sprawę *de noviter repertis*; ale możemy się jeszcze lat dziesięć pieniać bez pewności wygranej.

— A więcby krócej było ukończyć wszystko małżeństwem? Nie, na to ja nie przystanę. Toby wieczna była szkoda tak pięknej sprawy. A potem, moja córka jest starszą od pana starościca.

— O, różnica wieku jest nie wielka. Wiadomoć całemu światu, jak P. podstolina młodo za mąż poszła i że rok tylko żyła z mężem.

Zamilkła chorążyna i patrząc za okno zamysliła się głęboko i kiedy niekiedy poważnie

tabakę zażywała. Subdelegat opisywał jój tymczasem przygotowania, które w domu starosty do nastąpić mających odwiedzin czynią, aby z przyzwoitą okazałością wystąpić. Gdy długo jeszcze nad tym i innymi przedmiotami rozprawiano, otworzyły się drzwi nagle i szeroko. Podstolina weszła żywo do pokoju, gniew malował się na twarzy, rzuciła się niechęcią w krzesło i rzekła: Co za ludzie nieznośni! Odpędziłam znowu jednego dworzanina. Bo czyż można sobie wystawić, aby kto był tak niezręcznym i nieprzytomnym.

— Cóż się takiego stało, kochana Krysiu? zapytała troskliwie chorążyna.

— O staj kilka za wsią, w gaju, zesiadłam z konia chcąc się przejść nieco, i kazałam czekać na drodze mojemu rękodajnemu \*) na siebie; wracam po chwili, i nie zastaję ani konia ani dworzanina. Mój wierzchowiec wyrwał mu się z ręki; na własnym pobiegł gonić za nim, a ja musiałam wrócić pieszo tak iż wszyscy mogli rozumieć, że mnie koń zrzucił.

— Dobrze, że się tak nie stało, boby to było gorzej. Ja ci zawsze powiadam, moja Krysiu, że ty kiedy doznasz nieszczęśliwego przypadku, przez prędkość twoją i zbytęcną śmiałość w jeźdzeniu konném. Zostawić to należy

---

\*) Rękodajny dworzanin, który sprawiał przy pani domu obowiązki masztalera.

mężczyznom; białogłowom ta rozrywka nie przystoi.

Żywo zwróciła oczy Podstolina na matkę, uśmiechnęła się złośliwie i milczała, lecz wyraz niecierpliwości malował się na twarzy.

— Moje dziecko, mówiła dalej chorążyna, jakbym ja też rada była, gdybyś ty mogła dobrać sobie męża. Tobyto jedyny był sposób nabycia téj powagi i powolności, która tylko zamężnym niewiastom i matkom jest właściwa. Nie miałabyś także wówczas tak częstych okazji do gniewu na twoich służących, bo kiedy pan jest w domu, to cały dwór inaczej się prowadzi, jak gdy same kobiety rządzą.

— Jabym na to miała iść za męża, ażebym pana sobie dała? rzekła podstolina żywo. Zbyt wysoko cenię wolność moję. Raz już ślubowałam w brew życzeniu własnemu, aby tylko wolę rodzicielską dopełnić; drugi raz już tego nie uczynię. Jeżeli sobie obiorę męża, wybór ten padnie na takiego, który wszystkim moim życzeniom i urojeniom nawet odpowiadać będzie.

— Wszakżem ci już dawno przyrzekła, że ci w téj mierze zupełną wolność zostawię. Mnie tylko o to idzie, abym jeszcze raz nowemu postanowieniu twemu pobłogosławić mogła.

— I owszém, byleby się zdarzył taki, który mi się podobać zdoła.

— A toć się podobno i zdarzy teraz. Nasz subdelegat wspomniał mi tu właśnie o zamysłach młodego Wacława, syna starosty.



Na te słowa obejrzała się Podstolina żywo na swego plenipotentę, który tyłem stojąc do chorążyny odpowiedział wyrazem pokory i zaprzeczenia na śledcze wejrzenie podstoliny.

— Ale to dzieciuch jeszcze, rzekła dalej chorążyna, bez powagi, nieotrząskany ze światem.

— To niema nic złego, odpowiedziała odwracając się od subdelegata podstolina. Taki może być uległym i pokornym.

— Nie dowierzaj takim na pozór pokornym. Niewiedzieć, co to jeszcze z tego będzie.

— Jak bądź tak bądź, nie można mu odmówić wszelkiej nadziei na samym wstępie. Wypada nawet przyjąć go uprzejmie w domu naszym, skoro przybędzie.

— Zapewne, rzekła poważnie chorążyna, a podstolina poszła z niechcienia do zwierciadła, poprawiła kołpaczek na głowie i o czém inném mówić zaczęła.

W kilka dni po téj niedzieli nastąpiły odwiedziny przez subdelegata zapowiedziane. Starosta mieszkał o mil kilka od zwykłej rezydencji podstoliny, która po owdowieniu puściła dzierzawą graniczące z dobrami jego wioski i sama przy matce osiadła. Wybrał on się tak z domu, aby w poobiedniej godzinie przyjechać. Chorążyna drzymała jeszcze po obiedzie, a podstolina siedziała w milczeniu bawiąc umysł różnemi o przyszłości marzeniami, gdy dworzanin

zbliżanie się pana starosty z licznym dworem oznajmił.

Wjechało naprzód na dziedziniec kilku dworzan sadząc na dziarskich koniach, i za nimi pacholki do odebrania od nich koni. Następnie biegł pieszo laufer z kołpakiem, strusiami piórami przystrojonym, i z krótkim biczykiem w rękę. Za nim wtoczyła się wolno w bramę dziedzińca ogromna karéta, którą sześć sprzęgłych koni siwych z nateżeniem przez wysoki próg przeciągnęło, że aż stangret na koźle podskoczył. Konie przybrane w szory czarne, suto mosiądzem wysadzone, miały po trzy kutasy na łbach. Forys i stangret w barwę byli przybrani; ostatni siedział na niskim koźle, za którym stał na desce osadzonej na drągach powozowych Węgrzynek, który się ramion jego trzymał. Sama karéta była gdańskiej roboty, wewnątrz suknem karmazynowém wybita, złotym galonkiem szamerowana, zewnątrz pokryta skórą czarną, obwiedziona na okół całego pudła pozłacaną drewnianą ramą, a w górze gęsto ćwieczkami mosiężnemi wybita. Ogromne pudło karéty wisiało na grubych rzemiennych pasach między dwoma drągami i nisko sięgało ziemi, tak iż na stopniach po stronach obudwóch były znaki błota, które po drodze zagarniały. Za karétą stało dwóch lokai w barwie i dwóch hajduków na stopniu, po którym za karétę włązili lokaje. W karécie siedział starosta z synem. A skoro stanęła przed dworem, pospieszyli hajducy i lokaje do otworzenia drzwi; a dworzanie, którzy

już byli z koni zsiadli, podawali rękę panom, pomagając im wysiąść z pojazdu.

Powstał ruch nadzwyczajny i hałas w całym dworze. Domowi pokojowcy otwierali podwoje szeroko, że się aż drzwi o ściany obijały. Zamaszysto wchodzili panowie i dworzanie, szczęk karabel i powłóczenie nóg po podłodze rozlegały się po izbach. Przy drzwiach komnaty, w której się panie domu znajdowały, zatrzymali się dopiero dworzanie, lecz jeden z nich nie zważał na przestrogi kolegów i wcisnął się nieznacznie za panami do izby. Nastąpiły ukłony ze strony gości i gospodyń domu, i zobopólne oświadczenia uprzejmych affektów. Starosta naprzód matce a następnie córce z głębokim ukłonem wynurzał uczucia swoje. Lecz gdy w najlepsze rozprawiał przed Podstoliną, i gdy po ukłonie zwrócił oczy na nią, spostrzegł, że pomimo najlepszej chęci zachowania się z przyzwoitą powagą, nie mogła uhamować chęci śmiechu i gryząc czas niejaki wargi skończyła na tém, iż głośno parsnęła śmiechem. Zdziwiony i obrażony starosta spojrział na nią surowo, a gdy w uniesieniu śmiechu nie mogła mu dać odpowiedzi i tylko ręką na drzwi wskazała; obejrzał się i spostrzegł za sobą owego dworzanina, który się był wcisnął do pokoju, stojącego za Wacławem, i z najsłodszym, jaki tylko mógł ułożyć, uśmiechem kłaniającego się nisko, tak jak pan jego, i powtarzającego cicho za nim dosłyszane wyrazy. Rozgniéwał się starosta, lecz zdołał wstrzymać piérwszy zapęd niechęci, obró-



cił w żart głupowatość nowotnego dworzanina, spojrział na niego surowo, dał znak oddalenia się, synowi słów parę poszepnął, i damy za nieprzyzwoitość najuprzejmiej przepraszać zaczął.

Wacław wyszedł natychmiast z pokoju, i oświadczył innym dworzanom, którzy w ubocznej izbie czekali, iż wolą jest Pana, aby Dodosiński, który był tym nowotnym dworzaninem, natychmiast do domu był odesłany i pamięci marszałka za popełnioną nieprzyzwoitość polecony. Wydawszy ten rozkaz wrócił do pokoju i zostawił naszego biednego Faustynka, którego odtąd Panem Dodosińskim zwać będziemy, w rękach reszty dworzan, którzy go szyderskim śmiechem powitali.

Była to dla nich od dawna pożądana rozrywka, bo nasz bohater, pamiętny na ojca przestrogi, zdołał sobie zjednać powszechną niechęć kolegów a łaskę panów swoich, przez tajemne donoszenia tego wszystkiego, co się między dworzanami działo. Na samym wstępie do dworu był on świadkiem największego nieładu i szkody pańskiej, a zagrożony wykonaniem dotkliwego nader wyroku, potrafił ojca i siebie od zniewagi i bólu ocalić przez naoczne wymówienie marszałkowi tego wszystkiego, co się stało przyczyną oddalenia onegoż ze dworu. Ten pierwszy sukces dodał śmiałości, a szkólna zażyłość z Panem starościcem ułatwiła mu przystęp do państwa, tak dalece, iż pomijał wszystkie niższe stopnie, gdy skargę miał zanieść na kogo, lub jaką łaskę wyjednać dla siebie, i wprost panu czynił donie-

sienie, lub do niego próśby zanosił. Przymiennie był usłuchany i pokorny, wszystko wykonywał cokolwiek mu rozkazano, nie zważając nigdy na to, co ztąd wyniknie. Tą drogą zyskał taką łaskę u pana, iż lubo tenże ciągle szydził z jego niezgrabności i nieśmiałości, zawsze jednak pamiętał o nim. A gdy raz wśród biesiady po dobrem podchmieleniu nasz Faustynek najdokładniej wszelkie rozkazy, a nawet najniedorzeczniejsze żądania pańskie wypełniał; w nagrodę téj powolności i dla rozśmieszenia obecnych, dał mu starosta wyzwalające uderzenie i mianował go dworzaninem, w rok po przyjęciu na pokojowca, i potrzebę wzięcia wszystkiego tego odwołać nie chciał.

Wkrótce po téj promocyi przypadła owa wizyta do Pani Chorążyny, a Faustynek Dodosiński zaufany zbyt w łasce pańskiej poważał się weisnąć do pokojów i wspomnianą nieprzyzwoitość popełnić. Chwila nie była po temu, aby można było odwołać się do łaskawości pańskiej i spodziewać się przebaczenia, bo wypadło koniecznie staroście skarcić przykładowie postępek, za uchybienie gospodyni domu uchronić mogący. Nasz Dodosiński dostał się tedy prawdziwie na pastwę innym dworzanom, z których każdy miał jakiś żal dawny do niego, każdy rad był zemścić się doznanej z jego powodu nieprzyjemności. Jego położenie przyrównać można było do położenia lisa, który się dał ułowić, a w miejscu zamkniętém trzymany otoczony jest wokoło dybiącymi nań myśliwcami. Nie ma on wtedy owéj

bystrości w spojrzeniu, która śmiałość i przebiegłość oznacza; lecz z nieśmiałością pogląda na otaczających go nieprzyjaciół, i jeżeli czasem zęby wyszczerzy, gdy go drażnią, jest to ostatnie wysilenie, które ani siły, ani śmiałości nie oznacza.

Takim był nasz Dodosiński, gdy go Wacław między innymi dworzanami zostawił. Dopelniając zlecenia pańskiego wyszli wszyscy przed sieni, skąd mieli go wyprawić pod strażą do domu, i tutaj dopiero rozpuścili języki i do woli szyderstwa go okrywali.

— Co się to Wam stało, Mości sekretarzu? rzekł jeden przybliżając się do niego. Wypchnęli Waszeczka za drzwi. Na proszę, co to za brak uszanowania.

— Widzisz go! mówił drugi. Ledwo co barwę zrzucił, już się chciał panoszyć, i tkać się między pany. Potrzebnyś tam był, he?

— A zapewne, że potrzebny, dodał trzeci. On rozumiał, że się tam jego ucho na co przyda, i wcisnął się za państwem, aby podsłuchiwać, co też tam będą mówili... Natura ciągnie wilka do lasa.

— Dajcie mu pokój, rzekł pierwszy, próżno gadacie. Te wasze słowa są jak groch na ścianę, on na to obojętny; on dopiero wtenczas stanie się czułym, kiedy go marszałek w swoją opiekę dostanie.

Milczał na to wszystko Dodosiński, lecz szukał ściany, o którąby się mógł oprzeć, aby łatwiej napaść i czynne obelgi mógł odeprzeć. Gdy



się dostał do muru, oparłszy się spójrział na wszystkie strony, czy mu zkad jakie niebezpieczeństwo nie grozi, i spostrzegł w oknie bliżkiej oficyny kilka kobiet, które się ciekawie i z szynerskim uśmiechem na całą scenę patrzyły; a co gorsza, spostrzegł Anielę z pewnym udziałem i i politowaniem na niego poglądnającą. Ten widok wzbudził w nim uczucie ponizenia, w jakim się znajdował i dodał mu niezwykłej odwagi. Dlatego ufając więcej tępej, jak ostrzej broni, schylił się szybko po kij ogromny, do którego od dawna zmierzał, a pochwyciwszy go silną dłonią zakręcił nim ponad głowami przeciwników swoich, tak iż się wszyscy rozstąpili; dodał do świstania kija mocne i dobitne zakłęcie i zawołał. Dać mi tu pokój, bo skalęcę! Siadaj na koń, który tam ma jechać ze mną i dalej do domu! ale tutaj wara odemnie!

Głośny śmiech kobiet w oficynie, wzbudzony przez szybkie odskoczenie dworzan i przekonywające argumenta Dodosińskiego, zwrócił oczy dworzan ku oknu, wzbudził w nich pewien wstyd, iż ich wysłuchano i z nich szydzono. Dlatego umilkli wszyscy i oddalając się ode dworu zawołał Dodosińskiego za sobą, rozkazując, aby siadał na konia.

Ale, albo ja głupi! zawołał tenże. I gdy się jego towarzysze nieco oddalili, zawinął poły kontusza, pędem ruszył naprzód furtką ogrodu i znikł wkrótce w przyległym gaju.

## R O Z D Z I A Ł X.

### *Czarowanie.*

Niedługo uciezło wszystko na dziedzińcu. Dworzanie rozbiegli się szukać zbiega, a panny dworskie Chorążyny i Podstoliny ze śmiechem od okna do swojej komnaty wróciły.

Między niemi były dwie znakomite damy, to jest znajoma nam już Aniela, która skromnie i w milczeniu usiadła do roboty, i Panna Agata, ulubiona służąca Pani Podstoliny, zwykła towarzyszką wszystkich jej spacerów, powiernicą wielu nawet skrytszych jej życzeń i pomysłów i pełnomocną agentką do zbierania wszelkich doniesień i plotek okolicznych i do zdawania o nich sprawy pani swojej. Panna Agata zabrała przeto głos, skoro tylko cały frauencymer śmiech pohamował i zwykle miejsca swoje w kobiecym pokoju zajął, i rzuciła ważną kwestyą: Któryby ze

wszystkich dworzan Pana starosty mógł się najwięcej podobać i godzien był niejakięj uwagi? Różne w téj mierze były zdania. Każda niemal z panien na innego baczniejsze rzuciła oko, a Panna Agata stanowcze uwagi nad dawanemi pochwałami temu lub owemu czyniła. Ten jęj był zamłody, ów zastary, tamten wysmukły jak piszczałka, ten niski jak grzyb. Jedna Aniela tylko nie oświadczyła żadnego zdania, i jakby chciała ukryć pomieszanie, oka z roboty nie spuszczała. A Panna Dulaska jakiego jest zdania? zapytała się Panna Agata. Wszakże to skromności nie obraża powiedzieć między nami, co się myśli.

— Ja nic nie myślę — odpowiedziała Aniela — i na nikogo szczególnęj uwagi nie zwracałam.

— No proszę — odpowiedziała P. Agata — to tylko ona jedna, Dulaska, która nie ma oczów dla mężczyzn i dla dworzan. Aleć my to znamy przecię: cicha woda brzegi rwie. Możeć przecie kiedyś — no no; moim oczom nic nie ujdzie. Widziałam ja w oczkach Waćpanny ulitowanie się nad położeniem tego biédaka, na którego wszyscy nacięrali.

— A pfe! — zawołały wszystkie inne panny — to najbrzydzy!

Aniela spiekła, jak mówią, ogromnego raka i bardzięj jeszcze nachyliła się do krosien, aby jęj pomieszania nikt nie uważał; a Panna Agata rzekła odpowiadając na wykrzyknik innych pa-



nien: Na to się nie zgodzę. Nie jest on wymuskany chłopiec, ale nie jest brzydki, a przytém, ilem mogła widzieć, jest wysoki, dobrze zbudowany i, jak się zdaje, silny, tak jak mężczyźnie przystoi. Wyto wszystkie tylko za gładką ubiegacie się twarzą, a nie wiecie tego, że to nic nie znaczy. Mężczyzna troszkę powinien być piękniejszy od diabła, więcj mu nie potrzeba.

Powstał śmiech powszechny na te słowa P. Agaty. A gdy się zwolna wśród różnych uwag uciszył; rzuciła jedna z panien ważne pytanie: coby ci dworzanie mogli mieć do tego nieboraka, który im uciekł? Różne w tój mierze czyniono domysły. Wszystkie łamały sobie głowy nad dociečeniem tój tajemnicy, jedna tylko Aniela milczała ciągle. Gdy się tedy na żaden domysł zgodzić nie mogły, zaczęły rozmyślać, jakby się to można dowiedzieć prawdy. Wysłano jednę pannę na zwiady, ale domownicy byli zajęci służbą i nie wiedzieli o niczém; a do obcych dworzan nie wypadało udawać się poprostu z zapytaniem. Przebiegła P. Agata sama potém poszła do dworu rozumiejąc, że się spotka z panią swoją i od niój się czego dowiód; bo ogólne tylko dochodziły ją wieści, że się coś w pokojach stało, co tego rozruchu było przyczyną. Lecz i to usiłowanie nie przyniosło pożądanego skutku. Trzeba było przeto czekać wieczery, która obcych dworzan z domowemi pannami u marszałkowskiego stołu zgromadzić miała. Na-

stąpiła przecież pożądana chwila nie tylko zaspokożenia ciekawości, ale nadewszystko bliższego zaznajomienia się z obcymi dworzanami. Stół marszałkowski był nakryty w jednym końcu długiej sali, a w drugim był stół pański ozdobnie zastawiony, jako dla przyjęcia rzadkich gości. Już państwo byli zasiedli do swego stołu, gdy dworzanie, bez szmeru i z przyzwoitym respektem dla państwa, panny dworskie uprzejmymi ukłonami witali i nawzajem się długo w komplementa przesadzali, nim miejsca u stołu zajęli.

Z pomiędzy wszystkich najmniej pragnęła tej wieczery Aniela, i teraz najbardziej była pomieszana: gdyż z jednej strony słuchać musiała trapiącej ją powieści o przypadku Dodosińskiego, do którego znajomości przyznać się nie chciała; z drugiej spotykała od stołu pańskiego wejrzenie Wacława, który oka z niej nie spuszczał i tak był roztargniony, iż częstokroć nie wiedział, co miał odpowiadać Podstolinie, przy której siedział. Wkrótce zawiązała się bardzo żywa rozmowa u marszałkowskiego stołu. Dworzanie sadzili się na koncepta i ucinki, panny a zwłaszcza też wprawna do takich słownych potyczek Agata zręcznie odpiérała wszelkie żartobliwe napaści, i nieraz mówiącego przycinkiem zmieszała. Było to bowiem wówczas dowodem poloru dworskiego i powszechnie przyjętym zwyczajem, aby się dworzanie z pannami w dowcipach, w żartach i w przekręcaniu lub naciąganiu wyrazów przesadzali. Panowie i panie przysłu

chiwały się tym przekąsom, i często się zdarzało, iż dworzanin od swego pana a panna od pani swojej podarunki otrzymała za to, iż przeciwnika zawstydzić lub zmieszać zdołała.

Wieczera skończyła się zaprędko dla tych, którzy nie tak dalece potrawami, jak osobami obecnymi przy stole zajęci byli. Do tych należał Wacław, bo spostrzegłszy u stołu marszałkowskiego Anielę, której wdzięki dawniej już na nim wielkie uczyniły były wrażenie, poglądał na nią z największym upodobaniem i cierpiał na tém, że się nie mógł do niej zbliżyć, aby z nią dawną znajomość odnowić. Załowały także ukończenia wieczery panny dworskie, które nie widziały innej sposobności dłuższego bawienia się z dworzanami, dopiero poznanymi przy stole, bo przystojność nie pozwalała zaprosić ich do oficyny, zwłaszcza, że Pani Chorążyna strzegła jak najmocniej obyczajności w domu, a czas słotny nie dozwalał używać przechadzki po ogrodzie, przy którejby młodych towarzyszków cierpieć można. Wróciły więc smutne do swego mieszkania i na gadaniu czas, któryby lepiej mógł być użyty, trawiły. Każdy się łatwo domysli, co było przedmiotem żwawej rozmowy pańien dworskich. Zajęto się bowiem ważną bardzo dyskusją nad zaletami i niedoskonałościami dopiero poznanych gości. Panna Agata obstawała zawsze przy swoim zdaniu, i załowała nieobecnego, który się był tak zręcznie innym wywinał. Długo trwała ta rozmowa, lecz gdy się państwo na spoczynek



jeszcze nie zabięrało, uprzykrzyło się naszym kobietom o jedném długo gadać. Zaczęły ubolewać nad tém, że tak same siedzieć muszą, i utyskiwały na deszcz uléwny, który mocno w szyby trzepał. Następnie zaczęto radzić o tém, czyby téż to jakim sposobem kogo do zabawy zaprosić nie można.

— Ha, ja wiem sposób — rzekła Panna Agata — ale się to nie godzi. A potem, gdybym wam go powiedziała, tobyście mnie jeszcze czarownicą nazwały.

— Coż takiego? coż takiego? zawołały wszystkie razem i obskoczyły z ciekawością Pannę Agatę.

— Sposób pewny i niezawodny — rzekła ona — Miałybyśmy tu zaraz, kogobyśmy tylko chciały, choćby się nie wiedzieć gdzie znajdował. Ale ja się boję, bo się to nie godzi.

— Ach! kochana Panno Agato, powiedz nam, powiedz! Co to szkodzi?

— No, kiedy chcecie, to wiedzciez tedy: że kiedy pragniemy koniecznie widzieć kogoś, trzeba wziąć kota, obrócić się ku téj stronie, zkład ma przybyć oczekiwany, zakręcić siedm razy ogonem kota, a pomyśleć przytém na osobę upragnioną.

— E, to być nie może — rzekła jedna z pańien.

— Ale wierzajcie mi, z pewnością — odpowiedziała poważnie Panna Agata. Kot przez

ogon ma coś z djabłem wspólnego, dlatego też za pomocą złego ducha można przez ogon koci sprowadzić tego, na kogo sobie pomyslimy.

— No niech Panna Agata pomyśli, a ja będę kręciła, rzekła też sama, co wprzody. Poskoczyła do kominka, porwała kota drzymiącego u ognia, przy którym kawiarka śmietankę na jutro gotowała, wróciła na środek pokoju, i biorąc go za ogon zapytała: No w którą stronę mam się obrócić? wiele razy zakręcić?

— Ku borowi, rzekła wskazując na ogród Panna Agata, i — dodała nieco drżącym głosem: Siedm razy zwolna zakręcić.

Przyklęła wesoła dziewczyna obracając się ku stronie wskazanej i kręcąc zwolna ogonem kota liczyła każdy obrot. Za każdym zakręceniem zatrzymała się nieco, wszystkie jej towarzyski chorem ilość obrotów liczyły, a kot wtórował im swoim miauczeniem. Gdy tym sposobem razem *Pięc* wymówiły, słabiec zaczął ich głos i wszystkie się w kupkę zgromadziły. Za szóstym obrotem nieśmiało i zwolna oczy na drzwi zwróciły, a gdy drżące fatalne *Siedm* wyrzekły; łysnęło się mocno, grom gdzieś blisko uderzył, drzwi się rozwarły z łoskotem, Dodosiński wpadł do izby zmokły, blady i trwożną przejęty, a wszystkie panny z przeraźliwym krzykiem mostem na podłodze legły.

Spodzielam się, że czytelnicy moi nie przypisują kociemu ogonowi tej siły czarodziejskiej, jaką Panna Agata w nim upatrywała. Dlatego

muszę im wytłumaczyć, jak się to stało, że nasz bohater, prawdziwie jak zaklęty, w sam czas stanął przed tą, na której tak niespodziane i mimowolne wrażenie uczynił.

Gdy, jakśmy widzieli, zrećźnie z pomiędzy dybiących na niego kolegów Dodosiński wymknąć się zdołał, naturalną było rzeczą, że szukał schronienia w lesie, który się z ogrodem stykał. Latwo więc było pannie Agacie przewidzieć, że się tam znajdować musi, i dlatego czarującej ku lasowi obracać się kazała. Dobrze było póty mieszkać w lesie, póki się nie zmierzchno, a nadewszystko póki deszcz ulewny padać nie zaczął. Lecz ponieważ nasz bohater, jak wiadomo, nie był na rycerza stworzony, i gdy prócz tego nie wiedział, gdzie się ma w lesie obrócić, aby wyjść na znajomą sobie drogę; nie zdołał zatem dotrzymać placu między krzakami, w których się ukrył. Za nastalym mrokiem wymknął się z swego ukrycia, jak zajac z legowiska wypłoszony, gdy puchacz w lesie krzyczeć zaczął, i gdy coś za nim zaszeleściło. Ruszył naprzód równie zwawym krokiem, jak wtenczas kiedy rozumiał, że dworzanie za nim gonią, i podobnie jak wtenczas, oglądał się z trwogą póty, aż stanął przy żerdzianym płocie ogrodu. Tutaj odetchnął dopióro, bo miał kawał pola między sobą a lasem, a przed sobą widział światło w oficynie. Smutne było położenie jego. Co tu począć? gdzie się przespać? kiedy deszcz pada, a nadewszystko, jak się spać ukłaść nie jadłszy nic od południa?



Oh! gdybym ja mógł się widzieć z Anielą! — pomyślał sobie. Ona tak litościwém okiem na mnie patrzała, kiedy te famulusy na mnie nacięrały! Ona by mi może powiedziała, gdzie się mam skryć przed nimi; możeby mi i jeść dała nawet.

Tak myśląc sobie przelazł przez płot, i na palcach oglądając się na wszystkie strony skradał się ku oficynie. Korzystając z ciemności i ze słoty a szcękając zębami od przemoczenia, podsunął się aż pod okno. Spójrzawszy w nie spostrzegł Anielę siedzącą z daleka bez żadnego udziału w czynnościach koleżanek swoich; widział jasny ogień na kominku, przed którym się mógł był osuszyć i kilka garnuszków śmietanki, któremiby się od biędy można posilić. Ale jak się tu można było dostać do Anieli, która między tyłką nieznanymi pannami siedziała? A gdybym téż stanął w sieni i czekał czy nie wyjdzie? pomyślał sobie. Tak, a jak mnie kto złapie? — Ta ostatnia myśl tak go przeraziła, że się odsunął od okna, a cofając się natrafił na jakąś sionkę i drzwi do ogrodu, o których nie wiedział. Wahał się, czy wejść do niej, lecz deszcz ulewny zmusił go wkrótce do tego, a wtém łyśło się mocno, piorun trzasł w ogrodzie, Dodosiński przeląkł się niezmiernie i ze strachu nie wiedząc co czyni, wpadł do izby drzwiami, które przy świetle łyśkawicy był spostrzegł.

Trudnoby było rozstrzygnąć, kto z tych wszystkich osób najbardziej był przestraszony. To pewna, że Dodosiński nie byłby dotrzymał placu,

gdyby go nieznana opiekunka jego nie była zatrzymała. Panna Agata bowiem najpierwsza ochłonęła nieco z przestachu, i lubo z razu wątpiła, czy duch tylko, czy téż cielesna postać wywołanego przed nią stanęła, wzniósłszy wszelako z wolna oczy do góry przekonała się po niewątpliwej barczystości naszego bohatera, że to był ten sam, który się zręcznie od napaści towarzyszków swoich obronić zdołał. Dlatego powstawszy ze stołka, na który była z przestachu upadła, nie zbliżając się jeszcze ku niemu zapytała wolnym głosem, zkądby przybywał?

— Z lasu — odpowiedział Dodosiński zatrzymując się u drzwi, któremi już chciał wychodzić. Przytém ukłonił się niziuteńko czapką; a lubo z miną pokorną i głosem litość wzbudzającym ten wyraz wymówił; cucące się zwolna panny drugi raz mocno wrzasnęły i oczy rękami zakryły.

— A czegoż chcecie? zapytała dalej Agata.

— Ja — odpowiedział Dodosiński miętosząc czapkę w obudwóch rękach — ja sam nie wiem, jak tu wpadłem. Tam coś trzasło i tu mnie wepchnęło.

W tém uderzył ktoś mocno w okno i zawołał: „Do pań!“ Przerażone kobiety krzyknęły raz jeszcze przeraźliwiej, lecz Panna Agata nie tracąc przytomności zawołała na nie, ażeby się zabiérały iść do dworu, bo państwo się już na spoczynek udają, a sama zbliżyła się do Dodosińskiego, kazała mu iść za sobą, wyszła do

sionki, którą on przybył, wprowadziła go wązkiemi schodami na górę, otworzyła kluczem na poddaszu dużą izbę, w której rozmaite sprzęty domowe złożone były, kazała mu wejść do niej i drzwi za nim na klucz zamknawszy szybko do pani swojej pobiegła.

Wszystko się to działo tak prędko, tak niespodzianie, iż Dodosiński nie miał czasu zebrać swoich myśli i że bez żadnego namysłu dane sobie rozkazy wypełnił. Panna Agata przewidziała bowiem ze zwykłą sobie przenikliwością niebezpieczeństwo jego położenia, a chcąc przez szczególną ludzkość ocalić Dodosińskiego i uniknąć wszelkiego dalszego tłumaczenia się, postanowiła ukryć go na czas niejaki przed wszystkimi, a potem utrzymywać, iż okazanie się jego było tylko omamieniem pańien dworskich.

Lecz on nie byłby tak łatwo przystał na wypełnienie jej rozkazów, gdyby mógł był przewidzieć, że go w ciemnej i różnemi gratami zawalonej izbie zamknie. Trzeba było zbiegu szczególnie nieszczęśliwych okoliczności na to, ażeby go nakłonić do cichego zachowania się w tém straszném dla niego miejscu, byłby zapewne krzyczał i drzwi wybijał, gdyby nie to, że się znajdował w obcym domu i że niebezpieczną było rzeczą dawać jakiegokolwiek znaki swojej bytności.

Nazajutrz rano gdy słońce dwoma okrągłemi w szczytce osadzonemi okienkami zajrzało do garderoby, w której nasz bohater był zamknięty,



nie widać było na jego twarzy śladu trwogi lub nieukontentowania, i owszem rozlegał się smacznie na miękkiej pościeli, a próżny gąsiorek i kości kapłona przy łóżku leżące dowodziły, że mu na niczém nie zbywało. Gdy się podniósł z posłania, osiadł uśmiech na jego twarzy wewnętrzną pocięchę okazujący, i przeciągając się jeszcze poszedł z niechcenia do okienka wyrzecz, co się téż tam na dworze działo. Ledwo co wykazał twarz swoją jak w ramki oprawną, w okrągłym okienku, aby dalej mógł sięgnąć wzrokiem, cofnął ją nazad i przy szybkim wyciąganiu głowy uderzył się mocno aż syknął i za głowę się schwytał. Wyrzawszy bowiem na ogród spostrzegł Wacława pogląającego pilnie na oficynę i ku niej ostróżnym krokiem zmierzającego. Ten widok wzbudził strach w Dodosińskim: bo lubo miał większe zaufanie w łasce panieza jak starosty, nie śmiał jeszcze wszelakoż tuszyć sobie, aby mu dwoista wina jego darowaną być miała. Mniemał, iż Wacław powziąwszy wiadomość o bytności jego w oficynie szedł właśnie po niego. Dlatego upatrzył sobie ogromny kocioł od piwa dnem do góry obrócony, pod który się w razie niebezpieczeństwa miał schować i następnie z wszelką ostrożnością śledził oknem każdy krok Wacława. Lecz gdy spostrzegł, że tenże zbliżył się do samej ściany oficyny i z kimsi przez okno otwarte rozmawiać zaczął, i gdy go widział mocno zajętego rozmową, tak że wcale w górę nie poglądał; wychylił się, ile mógł, okienkiem

i dostrzegł, iż Pan starościc żywo i nader uprzejmie z Anielą Dulską rozmawiał.

Dnia tego przed południem odjechał pan starosta z całym dworem. Wieczorem zaś Pani podstolina, gdy się do swego sypialnego pokoju schroniła, usiadła w wielkiem krześle przed gotownią, wsparła rękę o poręcz krzesła a na niej głowę, i głęboko zamysłona poglądała w zwierciadło. Ten zaufany powiernik najskrytszych jej wzruszeń odbijał w obrazie twarzy to, co się w duszy działo. Czas niejaki okazał jej wejście zasępienie, następnie osiadł uśmiech zwycięzki na twarzy, jakąś szczęśliwą myślą wzbudzony. Wówczas ręka mimowolnie układała włosy nad czołem, aby więcej wdzięku twarzy nadać. W końcu myśl jakaś przykra spędziła z twarzy te powaby; brwi się ściągnęły, spojrzenie bystre wydało zagniewanie, lica zapłonęły rumieńcem; szybko zerwała rękę po dzwonek i wkrótce stanęła przed nią oczekująca na znak ten Agata.

— Gdzież tak siedzisz napróżno? rzekła do niej żywo. Czyż się nie możesz domyśleć, że potrzebuję twojej usługi, gdy się zabięram na spoczynek?

— Czekałam na przywołanie w przedsiönku, odpowiedziała pokornie Agata i przyklękając przy stolku, jakby się chciała wzięść do zdjęcia obuwia, pocałowała ją w rękę i dodała: Pani się gniewasz, czy na mnie?

— Nie, Agatko, odpowiedziała łagodniej

podstolina i spuściła z niechcenia rękę na jej ramię. Niewiem, co mi jest, alem nie swoja dzisiaj; potrzebuję rychłego spoczynku, ażebym zapomniała o tém wszystkiém.

— Jak to? zapytała zdziwiona Agata, czy Pani już wiesz o wszystkiém?

— O czémże takiém?

— A o Anieli i panu starościcu.

Na te słowa ruszyła się żywo podstolina i rzekła spoglądając bystro na Agatę: O Anieli i starościcu? O gadajże prędko.

— Ale ja nie śmiem Pani gniewać.

— Nie, nic nie zważaj na to; mnie tego właśnie potrzeba. Cóż tedy staroście?

Umizgał się z pół godziny do naszej Anieli, którą zna oddawna i w której wielkie znajduje upodobanie.

— Czyś ty go wysłuchała?

— Nie ja, odpowiedziała spuszczać oczy Agata, ale ktoś inny, którego to bardzo mocno obchodziło.

— Ktoś inny? Która z kobiet może zazdrozcząca Anieli. Ztąd mogą być plotki, a ty wiesz jak ja tego nie cierpię. Nie trzeba było się wypytywać i dowiadować o rzeczy, która mnie obraża. . . . No, i kóżto taki ci to powiedział?

— Ale kiedy się Pani gniewa, rzekła z udaną nieśmiałością Agata.



— No nie, nie; tylko mów, kto taki?

— Oto narzeczony Anieli.

— Narzeczony? A on się tu z kąd wziął?

— Przyjechał z panem starostą.

— Więc i z nim odjechał. Pięknych rzeczy dowiaduję się teraz. Kawaler przyjeżdża z zamiarem starania się o moją rękę, tymczasem stara się o względy mojej panny dworskiej. Jego własny dworzanin wypatruje jego zaloty, a potem gdy wróca do domu, będą sobie śmiało rozprawiali, że starościc przekładał prostą szlachciankę nad podstolinę, służącą nad panią.

— Nie, niech się Pani nie boi, nie takiego się nie stanie. Ten dworzanin, który wypatrzył pana starościca, jak się przez okno do Anieli zalecał, nie pojechał ze starostą.

— Jakże to być mogło?

— Ja go zamknęłam, ażebym Pani mogła dostarczyć świadka lekkomyślności panienki i pana starościca.

— Nie rozumiem tego. Jakżeci się miał dać zamknąć?

— Musiał nieborak. Jestto ten sam, który chybił przeciwko respektowi Państwu winnemu, i który mając być z rozkazu starosty srodze za to karany, zdołał uciec innym dworzanom, a ja przez litość wśród słoty nie mogłam mu odmówić przytulku. Ten tedy będąc zamknięty na

górze nad naszym mieszkaniem widział nieborak, jak pan starościc jego zamiary niweczył.

— Dość tego, zawołała podstolina, zerwała się z miejsca i szybko postąpiła do otwartego okna, ażeby świeżem powietrzem oddychać, i dodała: Nie chcę więcej dowodów, i tych już aż nadto. Jutro Aniela do rodziców odesłana zostanie, i żeby mi się nikt nie ważył i słowa o tém wszystkiém wspominać.

To być nie może, odpowiedziała z wyraźnem uniesieniem Agata. Ja Panią kocham szczerze i dlatego powiem śmiało, co myślę, choćby się Pani jak najbardziej o to na mnie gniewała. Tegoćbyto właśnie potrzeba było panu starościcowi, aby mu wszystkie przeszkody do spełnienia jego zamiarów uprzętać. A jeżeli Aniela będzie u rodziców, któż mu zabroni widywać ją codziennie? i Pani jej ułatwisz tryumf, z którym się może kiedyś na większą zgryzotę naszą szczycić będzie. Trzeba się mścić na panu starościcu za zniewagę Pani wyrządzoną: trzeba mu utrudnić widzenie Anieli i odebrać wszelką nadzieję spełnienia widoków, jakieby mógł mieć na nią; a jedynym na to sposobem jest zachować ją nadal jak dotąd w naszym domu, przyjąc do dworu jej narzeczonego, i nie mówiąc nikomu sprzyjać jego widokom, ażeby panu starościcowi dokuczyć. Wszakże Pani właśnie brak rękodajnego dworzanina: on się zda na to wybornie. Taka jest rada moja, czekam rozkazów Pani.

Podstolina zamysliła się nieco, zadała kilka pytań o powierzchowności Dodosińskiego, kazała go sobie nazajutrz rano przedstawić i powierzyła mu ważną funkcyą, która w jej służbie właśnie wakowała.

~~ROZDZIAŁ XI~~

Niech sobie kto chce gani fortunę, ja i mój  
bohater barako je koolamny. Ho jako nam ex-  
sta tyła wyplatała, bojuis wszelako naprochi  
potem strach, kłótni nas przysięła. Zarazem  
je, że ślepa; mnie się zdaje, że to najwęższa  
je waleta: bo dalszje na ostep nie tak lepij  
krobi, jak gdyby się dobrze wczem przypa-  
la. Wszak kłótniechyl z nię w wiołlich łaskach  
kawsze go, jej tamie dosięgalo, i to z tam saxe-  
gdymu wymyslam, że po za niewszem uderze-  
niem obalala, a za drugim jeszcze lepij na  
nogach atawiała. Właśnie jak ów pan, który  
widaje, że uderzony przez niego pijany słuchaj  
ka ziemi się pochyla, poprawia z drugiej strony,  
aby go na nogach uderzane.  
Leczże siedział niedalek Dodosiński, on



## ROZDZIAŁ XI.

### *W e s e l e.*

Niech sobie kto chce gani fortunę, ja i mój bohater bardzo ją kochamy. Bo lubo nam często figla wyplatała, hojnie wszelakoż nagrodzi potem strach, którym nas przejęła. Zarzucają jęj, że ślepa; mnie się zdaje, że to największa jęj zaleta: bo działając na oślepa nie raz lepiej zrobi, jak gdyby się dobrze rzeczom przypatrzyła. Nasz Faustynek był u nięj w wielkich łaskach; zawsze go jęj ramie dosięgało, i to z tym szczególnym wymysłem, że go za piérwszém uderzeniem obalała, a za drugiém jeszcze lepiej na nogach stawiała. Właśnie jak ów pan, który widząc, że uderzony przez niego pijany służący ku ziemi się pochyła, poprawia z drugięj strony, aby go na nogach utrzymać.

Jeszcze siedział nieborak Dodosiński pod

strychem między faskami, beczkami i kotłami, gdy się już los jego dalszy w pokojach podstoliny rozstrzygał. Nawykły szukać pociechy w tém, w czém ją najłatwiej znaleźć można, spał sobie smacznie, kiedy przybyła protektorka jego, aby go z pomiędzy gratów na świat w znaczeniu rekodajnego dworzanina wyprowadzić.

Nie będziemy się nad tém rozwodzili, jakie były obowiązki jego i jak je wypełniał. Każdy domyśli się łatwo, że był właściwie służalcem Panny Agaty, za jej namową przez podstolinę na przekór starościcowi, jako narzeczony i stróż Anieli trzymany. Lecz tego Panna Agata nie przewidziała przy zręczném obmyśleniu sposobu zachowania przy dworze Dodosińskiego, iż podstolina wszelkie jej widoki zniweczy, skoro rekodajnemu swemu inne przeznaczenie, odpowiadające jej chęci dokuczenia Wacławowi, dać zechce. Gdy bowiem pomimo przeszkód wszelkimi sposobami wymyślanych, staroście o Anieli nie zapominał i gdy za każdą bytnością w domu podstoliny starał się z nią widzieć; zagniewana podstolina, chcąc temu raz na zawsze koniec położyć, postanowiła przyspieszyć ożenienie Dodosińskiego z Anielą. W tym celu potrafiła wyjednać piękne wiano od matki dla niej, a sama hojnym darem skłoniła rodziców narzeczonego i narzeczonej do przyspieszenia zawarcia ślubów małżeńskich.

Już skromna i piękna Aniela porzuciła była dwór ukochanej od siebie chorążyny, odebrawszy

poprzednio ze łzami jój błogosławieństwo. Z prawdziwie dziecianną pokorą słuchała rozkazów rodzicielskich dotyczących się dalszego jój losu, bo nawykła do tego przekonania, iż wybór męża nie do niój należał i że żadne uczucie na względ nie zasługuje, skoroby było przeciwne woli rodziców. Wspomnienie na Waclawa było w jój oczach tém ulubioném marzeniem, którem się niekiedy jój wyobraźnia bez żadnej dalszej nadziei pieściła. Małżeństwo zaś samo poczytywała za nieodzowne przeznaczenie swoje, które jój posłuszną małżonki i skrzętność gospodyni za powołanie całego życia naznaczało. Niedziw przeto, że obojętnie ulegając konieczności, przygotowanie do naznaczonego ślubu swego czyniła.

Mróż styczniowy zakuł, jak mówią, wszystkie szyby dwóch małych okien porządnój Dulskiego chaty. Stara matka chuchała na nie, i tynfa na szybie trzymała, aby choć jedno miała miejsce do wyglądania za okno, rychło przyjadą spódziéwani goście. Wszystko w całym domu niedzielną, a bardziej jeszcze wielkanocną postać przybrało, to jest, że było odświeżone, wymiecione i wymyte. Świeżo bielone ściany sieni i izb obudwóch, od trzech dni jak najstaranniej strzeżone były od napaści brudnych pałey. Nawet wierny Obal skowyczał napróżno za dworkiem i do piaskiem wysypanój sieni przystępu znaleźć nie mógł.

Przy drzwiach wchodowych izby, przybita kropielnica cynowa z krucyfiks do święconój



wody połyskiwała się jak srebro. Karabela opuściła zwykle miejsce na ścianie i właściwsze przy boku pana swego zajmowała. Ogień się palił jasny na kominie, trzaskał i węgle żarzące na ziemię wyrzucał, że nieraz gospodarz powstać musiał, aby je przydeptać. Aniela zajęta była w czeladnicy przyrządzaniem wieczerzy, a założywszy na rożen dwie tuczne gęsi starannie obracać je kazała. Potem obtuliwszy się dobrze w lisią jupkę pobiegła przez dziedziniec do lamusa po parę gąsiorków miodu, które ojciec przysposobić kazał, i prędej jeszcze wracała po skrzypiacęj pod lekkim stąpaniem ścieżce; bo iskrzący się promień zachodzącego słońca tęszy jeszcze mróz zapowiadał. —

Stary Dulski chodził już niecierpliwie po izbie, żona jego patrzała przez odmrożoną szybkę, zegar wybił chrapliwie czwartą, a nikogo jeszcze widać nie było. Zawdział na uszy lisówkę, zarzucił bekieszę czarnym baranem podbitą na ramiona i wyszedł przed sień gospodarz. Poglaskał łaszącego się do niego Obala, postąpił ku lipie, a wlaższy na kamień, w lecie za ławkę służący, wyglądał przed sobą, czy na zakręcie lśniącego się z daleka toru sani jakich widać nie było. Kiwnął dwa razy głową, zlaźł z kamienia, poszedł ku bramie, obaczył czy ją założone kamienie dobrze otworem trzymają, a poprawiwszy ich obejrzał wyprzątnioną dla gościnnych koni stajenkę, zajrzał do własnych koni, tymczasowo w obórce umieszczonych, a zaleciwszy przezorność

i uwagę na wszystko parobkowi, w niedzielnej czapce wystrojonemu, wrócił mrużąc do dworku i narzekał z żoną na długie oczekiwanie.

Już słońce było zaszło, lecz jeszcze zupełny mrok nie nastąpił. Gromada wrón i kruków krążyła nad blizkim gajem i nocne obierała legowisko. Niejeden wróbel przeleciał cichaczem koło okna i szukał schronienia w poszyciu. Żuraw studni skrzypiał z daleka, a bydło polizawszy nieco zamarżyło tok dopiero co wodą nalany, wracało ostrożnie po śliskiej drodze do obory; wszystko smutne i ciche. Jedno tylko źrebię wybrykami swemi ożywiało nieco tę martwą scenę. Obal ze spuszczonego ogona pobiegł z przed dworku pod wystawkę śpichlerka i mrużąc słał sobie legowisko na barłogu. Ledwo że po długim deptaniu i kręceniu się w miejscu zaległ nocne leże, aż go odgłos z daleka usłyszany mimo woli z obranego łóżyska wypędził; podniósł głowę, zaostrzył uszy, szczeknął raz i drugi na pół głośno, słuchał znowu, a potem szybko się zerwał i z mocnym szczekaniem przed bramę wybiegł. Bo się też właśnie krzyki śpiwających i potraszki jadących głośno po podworku rozlegać zaczynały. Zajechały najprzód tęgim kłusem ozdobne sanie kute, z murzynkiem w czerwonej czapce na przodku. Dzielne konie były wilkami i dzwonekami przykryte, a łby ich jakby białym włosem porośłe; tak mocny śron na karęj maści osiadł. Woźnica był w niedźwiedzim kołpaku. Wszystko słowem po pańsku, nie tak jak się po sie-

dzących w saniach gościu można było spodziewać.

Trzeba bowiem wiedzieć czytelnikowi, że za wstawieniem się Podstoliny Dodosiński nie tylko przebaczenie winy lecz i zaszczytne uwolnienie ze służby od starosty otrzymał; a Wacław dowiedziawszy się o zamierzonym małżeństwie jego obsypywał go łaskami jakby na przekorę Podstolinie, która tém małżeństwem tak mocno Wacławowi dokuczyć chciała. Gdy się tedy zbliżał dzień ślubu, a Faustynek z ojcem na prędee sanie budowali i największy o to kłopot mieli, zkądby dobrego wasunga dostać, przybył do nich znany nam już dawniej Srokosz i oświadczył im: że Pan staroscie, w dowód łaski dla dawnego sługi swego, pożyczy mu własnych sani i koni na wesele, i że przysła prócz tego dwóch dworzan ojcowskich, którzyby w jego imieniu obrzędowi ślubnemu obecnymi byli, i za świadków przy nim służyć mogli. W tych tedy porządnych saniach i w towarzystwie Srokosza i Pana Porucznika, dziś już bez służby będącego, zajechał suto przede dwór nasz Pan Młody; za nim pędziły drugie sanie bez dyszla, z jednej zatoki do drugiej po drodze przebiegające, tak iż tylko przewaga siedzących od wywrotu je wstrzymywała, a drobne przed niemi koniki dobywały sił ostatnich, i pod ustawicznym śmiganiem bata woźnicy czwałem do bramy wpadły i raptownie w nią stanęły z powodu zawadzenia, tak iż postronki pękły, a jeden z siedzących na ziemię wypadł.



Przygłaskał czuprynę stary Dulski, oba wyloty na ramiona zarzucił, poprawił pasa i wyszedł do sieni naprzeciw oczekiwanym gościom i przyjął ich z narzekaniem, że się spóźnili, ale uprzejmie i serdecznie. Pan młody nie dotrwał w sieni póki się wzajemne powitania rodziców nie skończyły, lecz wszedł przed wszystkimi do izby, nie tak dalece dla gorącego affektu ku narzeczonej swojej, jako raczej dla zimna, którym był przejęty.

Skościąłem, dalibóg skościąłem! — wołał wszedłszy nie zdejmując czapki ani kożucha, kręcił się, tupał nogami i rękami bił się po ramionach. — Ręce mi zgrabiały, buty zmarzły jak kości, a bodajto licha porwało i mróz taki. Sykał, chuchał i pukał mruczając tym sposobem dalej, a Aniela stojąc blisko drzwi wchodowych w milczeniu patrzała się na niego.

— Otoż to mi dopięro Pan młody, zawołał Srokosz wchodząc do izby. — Przypatrzciono mu się, moje Państwo, co to wyrabia zamiast powitać narzeczoną swoją. No, czy chcesz, ażebym ja za ciebie z affektem do Panny Anieli się udał?

— Tak, łatwo wam gadać i kłaniać się, kiedyście nie zmarzli, odpowiedział Faustynek, ale ja, com siedział z tyłu za saniami na tym krzywym kozielku, to ledwo usta otworzyć mogę, a nóg wcale nie czuję. —

Tę sprzeczkę przerwało wejście reszty gości, to jest ojca i matki Dodosińskich, Pana porucznika, księdza proboszcza, po którego byli

wstąpili po drodze i który wszedłszy podał rękę do pocałowania pięknej Anieli i domownikom i pozdrowił wszystkich głóśném *laudetur*.

Lubo niewiele było osób, ciasno się wszelakoż zrobiło w izbie tak dalece, iż Faustynek coraz mniej miał miejsca do zagrzewania się, i ciągle do cofania się zniewolony okrążył izbę, zasiadł przed kominem i ręce i nogi przy ogniu grzać począł. Nie zważał on na to bynajmniej, że się rozmowa ciągle o nim toczyła, że się rodzice Dodosińscy nieustannie Dulskim kłaniali prosząc ostatecznie o łaskę dla syna i o oddanie mu córki. Srokosz odmawiał półrymową perychę, ile można dobitnym głosem, patrząc z boku ze złośliwym uśmiechem na porucznika, który w milczeniu wesał pokręcał. Książdz proboszcz założywszy ręce na brzuchu kiwał poważnie głową, przekręcał ją niekiedy na znak aprobacyi i uśmiechał się słodko w oczekiwaniu tego, co nastąpić miało, a co, jakkolwiek skromniejsze od pańskiej stypy, zawsze miłym być miało rozerwaniem nudów i jednostajności wiejskiego pożycia.

Te długie perory i oświadczenia skończyły się nakoniec na tém, że nasz bohater musiał odstąpić od kominka i upaść do nóg rodzicom przyszłej żony swojej, co z przyzwoitą powagą i łaskawie przyjętém zostało. I na tém ukończono przedgodowe formalności. Aniela krzątała się tymczasem po izbie i pomimo, że już od dawna przygotowaną była na blizką zmianę losu swego,

mimo że z dziecinną uległością poddawała się woli rodziców, nie mogła wszelakoż oprzeć się wzruszeniu, gdy wymienienie nazwiska swego jako przyszłej małżonki Faustynka usłyszała, i nie jedne łzę ukradkiem otarła. Za wezwaniem gospodarza domu zajęto miejsca na ławach za stołem, na którym Aniela zastawiła wieczerzę, gąsiorek z miodem i jedyny srebrny puchar po antenatach odziedziczony. Z wyrazem wewnętrznej pociechy i tego rozweselenia, które zaufanie w przyszłości i wolność od trosk na twarzy malują, sięgnął Dulski po puchar, uniósł go w górę, aby się połyskał przy jasnym świetle ognia na kominie trzaskającego, i rozpoczął historią starożytnego naczynia, która dla niejednego zbyt długa była, i która się z wielką wszystkich pociechą na napełnieniu go starym miodem skończyła. Piérwsza kolój odbyła się nie ledwie w milczeniu; lecz następne coraz głośniejszemi powieściami i conceptami ozdobione były. Rozochocony gospodarz zabrał wkrótce głos i z zapalem dawne wyprawy *wojenne za króla Stanisława* opowiadac zaczął, tym bardziej wzdychając do dawnych czasów, im większe klęski i cierpienia opisywał. Lecz słuchacze jego, przejęci bez wątpienia panującym w kraju duchem pokoju, nie dali obudzić w sobie rycerskiego ducha i niedługo kiwaniem, jakby na znak potakiwania, ostrzeegli gospodarza, iż dla nich spoczynek od wypraw wojennych był pożądańszym.

Od północy powstał wiatr mocny, świstaniem



swojém wielkie zawieruchy zapowiadający, a rano, gdy wszyscy powstawali i gdy przy piérwszém rozwidnieniu się można było wyjrzec co się na świecie działo, przykrą zmianę czasu postrzeżono. Sypały się tumany drobnego śniegu, wiatr zwiéwał go na płaszczyznach, a przy każdym wzgórk, krzaku i kamieniu wysokie wznosił zamiecie, tak iż pole jak w bałwany wzbite morze wyglądało. W opłotkach zaległy wielkie zasy i nigdzie prawie drogi widać nie było.

— O, to będzie piękna jazda, pomyślał sobie nasz Faustynek wyglądając za okno. Ciężko psa na dwór wypędzić, a ja mam do ślubu blisko milę jechać. — Aż go dreszcz zimny przeszedł, gdy sobie na to wspomniał, i umyślił opatrzeć się dobrze na drogę i kozuch wziąć na świąteczne suknie, aby się od zziębnięcia ochronić. Niedługo stawili się przed sienią zamówieni grajkowie, skrzypek i basetlista z Sochaczewa, biegli w sztuce swojej mistrzowie, którzy po długim biciu rąk i chuchaniu w palce zaczęli rzempolić jaką taką melodyą, którą wycie psów podworzowych wkrótce zagłuszyło. Wpuszczono ich do sieni nie czekając końca ich grania, kieliszkiem wódki gorliwość nagrodzono, i drętwiejące pokrzepiono siły.

Po nich zaczęli się zjeżdżać sąsiedzi i krewni na wesele zaproszeni, a z daleka widać było sanki bez dyszla, to wykręcające się na ślizgawicy w przeciwną stronę jak koń zmierzał i zmu-

szające go do odwrotu, to przebywające po zaspach śniegu jak łódki na wzdętych bałwanach, to zalegające w zatokach z całym pakunkiem ludzi i słomy. Nie długo pełno było gości w izbie i w czeladnicy, uwijały się czynnie swaty i swachny, druchny i družby, wszystko Panowie bracia szlachta i Ichmość Panny szlacheianki. Między przybyłymi zajmował bardzo gospodarzy JP. Subdelegat a plenipotent Pani Podstoliny, i odbierał od wszystkich dowody uszanowania, wyjąwszy od dworzan starosty, w asystencyi Dodośńskiego przybyłych, z którymi zimne było powitanie i takie obejście się, jak posłanników politycznych dwóch państw przeciwnych sobie, którzy się nawzajem strzegą i obawiają.

Zeszło godzin para na strojeniu Panny młodej do ślubu, zaszły w końcu sanie; wszystko gotowało się do uroczystego odjazdu z domu do kościoła. Marszałek wesela przemówił do rodziców i Państwa młodych, a družbowie żądali od Faustynka, aby siadł na konia i starym obyczajem przy saniach Panny młodej w ich gronie jechał. — Albo ja głupi, zawołał wydzierając się z pomiędzy nich, na taką zawieruchę miałbym konno jechać; a toćbym musiał zdjąć kozuch, a potembym zmarzł albo skościł jak wczoraj.

— Dobrze mówi, rzekł Srokosz. Kto słyszał, aby Pan młody w taki czas konno jechał. Siadajcie z nami, Panie bracie, dodał biorąc go pod rękę, wszakżeto dla was Pan starosta te sanie paradne przysłał.

— A jużci, rzekł Faustynek i wsiadł do sani, a przy nim Srokosz. Subdelegat ruszył się naprzód i chciał się także do tych sani zabrać, lecz porucznik zastąpił mu drogę, zatrzymał go za ramię i powiedziawszy: *Za pozwoleniem odepchnął go i sam do sani z drugiej strony Pana Młodego zasiadł.* — Za danym znakiem ruszył woźnica żywo z miejsca i wkrótce wszystkie sanie wyminął, co naszego Faustynka nader ucieszyło. Kilku druzbów, a między nimi i Pan subdelegat lubo nie piastujący takiego urzędu, usiłowało zdążyć za temi saniami, lecz jednych konie pozostały w tyle pomimo mnogich plag, któremi je okładali, innych ślizgały się lub upadały z jeźdźcami. Sam Subdelegat dotrzymywał jeszcze rozpędzonym saniom i usiłował zdążyć za nimi, dla tego właśnie, że z prostej drogi do kościoła zupełnie zboczyły. Lecz gdy w pędzie natrafił na kupę śniegu pod płotem nagromadzoną; koń jego uwiązał w niej i tak raptownie łbem w nią uderzył, iż jeźdźca przez płot w drugą zamieć przerzucił. Nim ztąd się wydobyć, zasypane oczy przetrzczyć i po konia za płot przeleźć zdołał, nie było już widać sani z Faustynkiem, bo w przyległym znikły lesie „Wiemci ja, co się święci“ rzekł po długim milczeniu ruszając głową nasz Subdelegat, wydobył konia ze śniegu, otrząsnął jego i siebie z mokrej kurzawy, wsiadł na kulbakę, kiwnął jeszcze kilka razy głową i stępą prosto do domu pojechał. A gdy z daleka prze-



jeźdźał koło kościoła, przed którym weselnicy  
w oczekiwaniu stali, rzekł do siebie: „Oj głu-  
pcy, nie marznicie próżno na dworze, bo go  
się nie doczekacie.“

